



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

## ZJAZD PEDAGOGÓW W KRAKOWIE,

XV WALNE ZGROMADZENIE

### GALICYJSKIEGO TOWARZ. PEDAGOGICZNEGO

w d. 18, 19 i 20 Lipca 1881 r.

(Dalszy ciąg)

Skoro tak sprawa stoi, nie może być mowy o jakichś stanowczych poglądach i zamiarach, wszystko jest dopiero rzeczą przyszłości: a zatem p. Baranowski, jako członek delegacji („ankiety”), która z wnioskami jeszcze nie wystąpiła, mógł tylko prywatnie podać do wiadomości, jak rzeczy stoją, niczego nie wygłaszając stanowczo.

Z obecnej jego relacji, niepozbawionej werwy i dosadności, dowiedzieliśmy się, że delegacja pojęła zadanie swoje głęboko i wywiązać się z niego pragnie sumiennie. Rozdzieliła się ona na dwie sekcje: administracyjną i pedagogiczną, a każda z nich obraduje w swoim zakresie; najważniejsze kwestye były tam wszechstronnie rozbiegane i przyjdą pod zatwierdzenie na posiedzeniu *in pleno*. Delegacja pragnie reformować, organizować, ale nie obalać, ruinować; systematów szkolnych nie można zmieniać, jak się zmienia rękawiczki; potrzeba czasu na ich wypróbowanie: gdy pokolenie dziś się kształcające wstąpi w zawód publiczny, da dopiero świadectwo o wartości systemu, pod jakim je kształcono. Wzięto więc za podstawę to, co jest, i na tem starano się stworzyć jak-najlepsze warunki dla nauczyciela i dla szkoły.

Nauczyciel powinien być jaknajmniej zależnym od warunków miejscowych; nominacja jego po-

winna zależeć od Rady Szkolnej. Myślano nad tem, aby do Rad Szkolnych miejscowych więcej inteligencji powołać, a do Rad Okręgowych wprowadzić więcej żywiołu autonomicznego. Położenie nauczycieli młodszych, o których zresztą ktoś powiedział: „Zamają, żeby żyć, zawiele, żeby umrzeć”, było przedmiotem obrad delegacji; najniższa płaca nauczyciela młodszego ma wynosić 250 zł. r. Sekcja pedagogiczna uchwaliła jednogłośnie sześcioletni kurs nauki dzieci wiejskich, obostrzyła przymus szkolny trzyletni, zwróciła uwagę na potrzebę wzmocnienia nauki uzupełniającej t. j. niedzielnej, która podobno obecnie faktycznie tak, jakby nie istniała, i na tym-to dopiero stopniu nauka dzieci wiejskich powinna przybrać kierunek praktyczny, zawodowy. Dobro szkoły wymaga, aby nauczyciel więcej nad dwa oddziały nie prowadził; gdzie jest więcej uczniów i więcej oddziałów, tam siły nauczycielskie powinny być wzmocnione. Poruszono w delegacji wiele jeszcze kwestyj, jak n. p. ograniczenia jednostronnej, drobnej nauki rzeczy, wpływu szkoły na moralność, dokładniejszego planu i instrukcyj i t. p. Jak poważnie delegacja pojmuje swoje zadanie, świadczy o tem okoliczność, że na pełnym posiedzeniu wstrzymała się od rozstrzygnięcia kwestyj spornych, postanawiając ułożyć zbiór zapytań, *kwestyonarz*, rozesłać go do opinii Radom Okręgowym i zawiadzać specjalistów do objawienia swych zdań.

W referacie p. Tatomira usłyszeliśmy niektóre rzeczy tejsamej natury, co powyższe; dotyczył on memoriału przedstawianego już parę razy przez Zarząd Towarzystwa Sejmowi. Memoriał ten, uzupełniony wnioskami różnych kółek i oddziałów, obecnie nanowo ma być podany. Określa on stanowisko materialne, moralne i prawne nauczyciela i wyłuszcza potrzebę różnych ulepszeń w szkole.

Relacja p. Benoniego, administratora wydawnictw Towarzystwa, wykazała liczbami, jak wy-

dawnictwa te, wchodzące w zakres coraz większy rozpowszechniają się, pomnażają kapitał zakładowy, a to mimo bardzo niekorzystnych warunków w tym roku, skutkiem wykreślenia z budżetu krajowego rubryki na biblioteki szkolne.

Na zamknięcie zjazdu prezes Sawczyński wypowiedział dość długą i forsowną nieco mowę, w której po niejakich admonicyjach starał się zażegnać zważnione żywioły. Żywioły te oklaskiwały mowę, a jeszcze bardziej oklaskiwały różne inne mowy na uczcie pożegnalnej, która się tegoż dnia w wielkiej altanie nad piwnicami browaru Johana odbyła. Uczta, na którą zebrało się przeszło półtora tysiąca biesiadników, miała charakter, z początku przynajmniej, bardzo poważny i zajmujący; podniosły go jeszcze: obecność Dra Majera, prezesa Akademii Umiejętności; gościnność reprezentantów miasta, to jest prezydenta i wiceprezydenta; uprzejmość, z jaką gospodarze podejmowali gości, a zwłaszcza nas, Warszawian, zdaleka przybyłych, za co wyrażamy im tutaj serdeczne podziękowanie. Dobre mowy prezydenta Weigla, Majera, Trzaskowskiego, Baranowskiego, Zolla, a zwłaszcza dzielna mowa Sawczyńskiego, były prawdziwemi a szlachetnemi przysmakami uczty.

Pominieliśmy dużo w pobieżnem tem sprawozdaniu: nie możemy się przeto rozpisywać o rzeczach nazewnanych zjazdu niejakich stojących, a do takich np. należy wykład z doświadczeniami p. Milatycykiego z Odessy w gabinecie fizycznym Uniwersytetu, wykład wskazujący jak każdy nauczyciel ludowy przy pomocy kawałka blachy i szklanki wody może okazać łamanie się promieni słonecznych; należy także ocena nadzwyczaj pracowitej mapy do poglądowej nauki geografii Europy pani Tadeuszowej Wójcickiej z Warszawy, którą-to mapę widzieliśmy zawieszoną w sali wczasie ostatniego posiedzenia pedagogicznego, a następnie na wystawie zjazdu lekarzy i przyrodników w Sukiennicach. Należy tu jeszcze wystawa ro-



bót ręcznych i przyrządów naukowych szkół krakowskich, z pilnego zwiedzania której najwięcej, zdaniem naszym, nauczyciele i nauczycielki skorzystać mogli. O tej wystawie pomówić trochę musimy, zwłaszcza, że w sprawozdaniach ze zjazdu przeważnie pomijano ją milczeniem.

## V.

Galicja wogólności nadaje wszystkim faktom, ważnym czy mniej ważnym, ostentacyjną formę i korzysta z każdej sposobności podatnej ku temu; dziwić się tedy należy, jeśli czasem stanie się inaczej, a tak właśnie stało się z *Wystawą robót ręcznych i przyrządów naukowych szkół krakowskich*, urządzoną przy Seminarjum Nauczycielskiem Żeńskim. Nie było uroczystego otwarcia tej wystawy: czyżby dlatego, że nie była tam nowością, gdyż urządza się w końcu każdego roku szkolnego? Ależ w tym roku przybrała ona zakres nierównie większy niż lat poprzednich, miała znaczenie ogólniejsze, gdyż łączyła się ze zjazdem pedagogicznym; należało więc skorzystać z obecności tak wielkiej liczby nauczycieli ludowych, która złożyła hołd pamiętkom historycznym Krakowa, a nawet i „z kamieniami rozmawiać” miała; należało zachęcić tych pątników, aby nie pomijali tego, co najżywsze zajęcie wzbudzić w nich było powinno, aby przyjrżeli się przyrządom pomocniczym szkoły, zwłaszcza takim, których u siebie, w różnych zakątkach prowincyi, nie zobaczą! Zwrócenie szczególniejszej uwagi na wystawę było tem silniej nakazane, że wystawy podobne wchodzi w zakres walnych zjazdów Towarzystwa i tak: była już wystawa w r. 1870 w Kołomyi, w 1872 r. w Tarnowie, w 1875 r. wyłączna wystawa szkół żeńskich w Stanisławowie.

Nie wiemy, jak wielu nauczycieli zwiedziło wystawę, to jednak pewna, że nie pociągała ona do siebie grona nauczycielskiego tak, jak pociągać była powinna, i nigdy też przepelnioną nie była. Dziwi nas nieco ten objaw; same już tylko nauczycielki, w liczbie kilkuset na zjazd przybyłe, mogły powiększyć zastęp zwiedzających, choćby z tego względu, że na wystawie znajdowały się przeważnie roboty kobiece, piękne i eleganckie, a te przecież nie mogły nie zająć kobiet, które najświetniejsze swoje toalety przywiozły do grodu Krakusa. Przytem gust i elegancja w wyrobach samych i w urządzeniu wystawy możeby przyniosły jaką naukę dla pretensjonalnych prowincjonalistek, które w sukniach wyciętych w „carré” i „en coeur”, z torbami podróżnymi przez plecy, zwracały na siebie uwagę wszystkich z wyjątkiem tych chyba, co się na posiedzenia zjazdu nie spóźniali.

Wystawa, urządzona staraniem D-ra Władysława Sereżyńskiego, który duszą całą oddany jest Zakładowi, wspieranemu przez takie siły, jak: znana zaszczytnie pani Anastazyja Dzieduszycka, jak pracownicy i nadzwyczaj zamiłowani w swoim zawodzie, profesorowie Zgoźalewicz, Prysak i inni, nie ograniczała się na okazach samego Seminarjum: przylącono do niej niektóre przedmioty z Muzeum Techniczno-Przemysłowego; uczestniczyły w niej również niektóre szkoły Krakowskie, jak Szkoła Wydziałowa Żeńska Św. Scholastyki, Szkoła Podwawelska, Szkoła na Kleparzu, Szkoła na Kazimierzu, Szkoła Rzemieślnicza (mężka), tudzież kilka pensyonatów prywatnych. Sądzymy, żebyśmy niebardzo zajęli i niewiele nauczyli czytelników naszych szczegółowem wliczaniem okazów w każdej szkole, tudzież ocenianiem ich i porównywaniem na korzyść tego lub innego zakładu; rzecz taka może mieć znaczenie dla stosunków miejscowych: nam tu wystarczy sprawozdanie w najogólniejszych zarysach trzymane.

Wystawa mieściła się w 8 salach. W jednej były okazy z Muzeum Baranieckiego: wzory najdawniejszych sposobów pisanja, wielkie tablice ręcznej roboty, przedstawiające narzędzia rolnicze, tudzież rysunki pomocne do wykładu kosmografii i geografii fizycznej. Na szczególną uwagę zasługuje piękny zbiór odlewów gipsowych, wykonanych podług zabytków sztuki krakowskiej. Zwracamy na to uwagę zakładów naukowych, gdyż odlewy te, jako modele do rysunków szkol-

nych sprowadzać można pojedynczo lub seryami w porozumieniu się z Muzeum Techniczno-Przemysłowem, przy którym urządzono odlewnię tych modeli. Wystawy takie, jak w mowie będąca, nie zdołają nigdy dać dokładnego obrazu danej szkoły, jej kierunku, metody, rezultatów; ale mogą dać przybliżone o tem pojęcie za pośrednictwem przedmiotów wystawionych. Najlepiej dadzą się wykazać prace ręczne, a pomiędzy niemi rysunki i mapy; metoda szkoły może się cokolwiek wykazać przez pomoce naukowe, a więc przez różne przyrządy, preparaty, tablice, modele, okazy, do ułatwienia nauki służące; rezultaty nauki wykazują się poniekąd przez ćwiczenia piśmienne. Wszystko to znaleźliśmy na tej wystawie, znaleźliśmy jeszcze coś więcej: wychowawce Seminarjum oprowadzały zwiedzających i objaśniały szczegóły; stanowiło to dopełnienie wystawy, było właśnie żywym wyrazem rezultatów szkoły. Rozrzewnialiśmy się zawsze w czasie uroczystości szkolnych, w czasie popisów; nie bez wzruszenia widzimy zawsze młodzież z zapalem mówiącą o tem, czego się nauczyła: tu spotkaliśmy kobiety przygotowane do nauczycielstwa, przejęte miłością nauki i zawodu w przyszłość. Kierownicy Seminarjum, którzy umieli obudzić tak wielkie zamiłowanie najważniejszego w społeczeństwie zawodu, przez to samo już spełnili dobrze swoje zadanie. Zwiedzaliśmy parę razy wystawę i wychodziliśmy z niej zawsze z wrażeniem jaknajlepszem.

Było to rzeczą bardzo naturalną, że Seminarjum wystąpiło na wystawie bezporównania bogaciej niż inne szkoły, które wespół z niem do popisu stanęły. Uderzały każdego przedewszystkiem roboty ręczne uczennic seminarjum, tak obfitością jak i pięknem wykończeniem, smakiem swoim, wdziękiem; jeden tylko chyba zarzut dałby się tutaj uczynić, t. j. przewaga po stronie estetycznej, zbytowej, gdy tymczasem roboty w seminarjum nauczycielek ludowych odznaczać się powinny przewagą praktyczności. Należąc do brzydkiej połowy rodzaju ludzkiego, nie możemy się pochwalić kompetencyą w rzeczach robót kobiecych; mimo to jednak możemy stanowczo powiedzieć, na co zresztą i znawstwa nie potrzeba: że nauka robót prowadzi się w seminarjum metodycznie, stopniowo. Oprócz większych sztuk, uczennice wykonywały całe jednozbiory drobniejszych robótek, które razem stanowią dla każdej zbiorok, jakby encyklopedyą robót kobiecych w różnych wzorkach, modelkach, próbkach, wyczerpujących wszelkie formy danego rodzaju pracy. Ciekawym był stolicek w rogu sali, na którym rozłożono w miniaturze zbiór wszystkich robót w ciągu lat czterech przez jedną uczennicę wykonanych; wszystko to może się zmieścić w niewielkie pudełko i przedstawia dokładnie okazowy kurs robót kobiecych. Tłómaczono nam i okazywano różne rodzaje szwów, najrozmaitsze zastosowanie robót szydełkowych, następnie roboty drutowe i siatkowe, wyszywania na płótnie, kanwie, tiulu, hafty białe i kolorowe. Było to wszystko tak piękne i misterne, że trzebaby wszystko po kolei wymieniać i chwalić, jak to zrobił *Czas* w obszernym bardzo artykule (Nr. 172 do 175). Niech nam darują szanowane pracowniczki, że, uznając ich za usługę w zasadzie, nie będziemy tutaj nazwisk ich wymieniać, choćby dlatego, że publiczne odznaczenie należy się tylko zasługom wyjątkowym lub przynajmniej zasługom długim, nietylko przez trud, ale i przez sam czas zdobytym.

Staranność o podniesienie metody w zakładzie okazała się przez nagromadzenie znacznej liczby pomocy naukowych: tablic poglądowych, przyrządów, okazów modeli do nauki Historii Św., do nauki rzeczy, do arytmetyki, geografii. Żałować tylko wypada, że pomiędzy przyrządami sprowadzanymi z różnych stolic Europy znaleźliśmy bardzo mało przyrządów pomysłu pedagogów galicyjskich, których tak wiele było na wystawie rolniczo-przemysłowej we Lwowie w r. 1877. Znajdowało się wprawdzie *liczydło* Żulińskiego, ale nie umiano nam go objaśnić. Zabięgliwość i pracowitość nauczycieli okazała się w staranem urządzeniu gabinetów do fizyki, chemii, historii naturalnej. Widzieliśmy tam także wielkie ręczne rysunki, służące do wyjaśnienia nie-

których machin, a zwłaszcza uderzyły nas tablice prof. Zgoźalewicza do wykładu optyki. Oglądaliśmy również duże tablice tegoż profesora, umysławiające naukę ułamków, a także ogromną mapę etnograficzną, wykonaną przez dyrektora Sereżyńskiego. Wobec podobnych prac znaleźć możemy w sobie tylko wyrazy najwyższego uznania i zaznaczymy zarazem, że uczennice pokazywały te rysunki z wielkim zapalem, wyrażając wdzięczność za pracę profesorów, podjętą w celu ułatwienia nauki.

Prace uczennic ujawniły się w ćwiczeniach rozmaitych, a przedewszystkiem w całych atlasach map, wykonanych z taką drobiazgowością i starannością, że doprawdy lękamy się: czy pracownice nie zawiele czasu i oczu na wykonanie ich poświęciły?

(Dokończenie nastąpi).

## MIKOŁAJ SĘP SZARZYŃSKI

przez

Wiktora Czajewskiego.

(Dokończenie).

Podobnie jak Francuzi, u których przedstawicielem epigrammatu był słynny Klemens Marot (1495—1544 r.), lubowali się nim i Polacy. Wrzeczy samej, przypadł taki epigrammat bardzo do usposobienia narodowości polskiej. Wesołość i dowcip, może mniej sarkastyczne niż we Francyi, odbiły się wcześniej w *Apophtegmatach* Reja i *Fraszczkach* Jana Kochanowskiego i tak przeciągnęły się aż do Ignacego Krasickiego, a poniekąd i do dni dzisiejszych. Sam Szarzyński, chociaż zrobił tu niewiele, jednakże pisał i tłómaczył epigrammata.

## I.

*Fraszka z Martialisza.*

Piszą: król Agatokles, gdy swoim cześć sprawiał,  
Między złote naczynie zawsze glinę stawiał.  
Tak mieszając ubóstwo z bogactwy hardymi,  
Tę przyczynę powiadał przed gośćmi swoimi:  
„Ja, którego Bóg sławą i państwem ozdobił,  
Pomnę, iżże mój ojciec z gliny garnce robił”.  
O, szczęśliwy, kto, stanu dostawszy wielkiego,  
Pomni, czem był, i baczy moc szczęścia zmiennego.

## II.

*Z tegoż fraszka.*

Ubogis? Ubogim być musisz zawdy. Czemu?  
Bogactw teraz nie dają, tylko bogatemu.  
Chcesz mieć co? przynieś-że co, bierz za słowa—  
[słowa;  
Taka teraz po wielkim brzmi pałacu mowa.

Najlepszym epigrammatem Szarzyńskiego, jest przekład wiersza Jana Witalisa <sup>1)</sup>. Przekład to tak misternie wykonany, że przewyższa nieomal oryginał.

## III.

*Epitaphium Rzymowi.*

Ty, co Rzym wśród Rzymu chcesz baczyć piel-  
[grzymie,  
A wdy baczyć nie możesz Rzyma w samym —  
[Rzymie,  
Patrzaj na okrąg murów, i—w rum obrócone  
Teatra i kościoły i słupy stłuczone:

Te są Rzym. Widzisz jako miasta tak możnego,  
I trup szczęścia poważność wypuszcza pierwszego.

1) Maciejowski: *Piśmiennictwo polskie*, tom I str. 519 nazwano go Janem Witalisem du Tour, Franciszkaninem z XIV wieku. (Przyp. Red.).



To miasto, świat zwalczywszy, i siebie zwalczyło,  
By nie nie zwalzonego od niego nie było.  
Dziś w Rzymie zwyciężonym — Rzym niezwyję-  
[żony]

(To jest ciało w swym cieniu) leży pogrzebiony;  
Wszystko się w nim zmieniło, sam trwa prócz od-  
[miany]

Tyber z piaskiem do morza, co bieży zmieszany.  
Patrz, co fortuna broi: to się popsowało,  
Co było nieruchome; trwa, co się ruchało.

Tak więc i w Polsce sonet wyrósł z epigram-  
matu, tylko zupełnie inną potoczył się koleją.

Ostatni dwuwiersz sonetu nie zawierał już tu  
tyle sarkazmu i dowcipu, ale zamieniał go zwykle  
zlokalizowaniem myśli, lub mistrzowskim zwrot-  
tem. Szarzyński, co prawda, w swoim sonecie te-  
go nie uwydatnił, ale nie podłożył też podstaw do  
ironii lub śmiechu.

Przepatrzywszy z kolei całą pozostałość po  
Mikołaju Sepie Szarzyńskim, możemy się łatwo  
przekonać, że był on człowiekiem dosyć wykształ-  
conym, a przynajmniej czytającym. Lubował się  
w poezji Petrarki, Horacyusza, Witalisa, Martia-  
lisa; a w poezji biblijnej kochał się już do te-  
go stopnia, że nie mógł wpływu jej z siebie strzą-  
snąć. Pisał i nie wiedział sam, jak dalece naśladuje  
swych mistrzów; nawet gdy tworzy pieśń *O cnocie  
szlacheckiej*, nie obywa się i tu bez pomocy pieśni  
obcych, a w szczególności Horacego, przypomnia-  
jąc jego odę czwartą w księdze IV:

Qualem ministrum fulminis alitem,  
Cui rex deorum regnum in avis vagas  
Permisit expertus fidelem,  
Iuppiter in Ganymede flavo....

Zacni się ludzie, rodzą także z zacnych;  
Znać w koniach sztuki ojczyste — lękliwych;  
Mężna orlica gołębi nie rodzi,  
Ani mdły zając z dużych lwów pochodzi.

Wszakże rozmnaża cnoty przyrodzone  
Ćwiczenie, czynią serce utwierdzone  
Piękne nauki — tych kiedy dostaje,  
Szlachetne plemię szpecą złe zwyczaje.

Śmiał się waleczny Rzym z syna onego,  
Ojca dzielnością przełamion którego  
Straszny Hannibal i fortuną zbroję,  
Musiał opuścić i ojczyznę swoją.

Ale nie przestał na tem, między bogi  
Chwalon Aleydes, że go gromem srogi  
Ojciec urodził, bo wołał dzielnością  
Swą słynąc, niżli rodzaju zacnością.

Cokolwiek jeno straszliwego żyło  
Na świecie, wszystko jego ustąpiło  
Niezmownej sile; przeto słynie wszędzie  
I wiecznie słynąc za swe cnoty będzie.

Drogą ku sławie w sławnym urodzenie  
Domu — nie samą sławą. Przeto w cenie  
Kto chce być, porzuc' nierzemne zabawy,  
Nie na herb przodków patrz, ale na sprawy.

Da pospolite prawo nieskończone  
Imię swym stróżom, dadzą obronione  
Granice zbroją koronne, — pocziwają.  
Od chciwych sąsiad, sławę wiecznie żywą <sup>1)</sup>.

1) Ostatnie wiersze samą przekładnią wyrazów nasuwają  
przypomnienie rymotwórców rzymskich; porównania o orle i go-  
łębiu, o źrebach i koniach, wzmianka o Hannibalu naprowadza  
ją na myśl, że po przeczytaniu ody Horacyuszowej i pod jej wra-  
żeniem Szarzyński zabrał się do napisania swojego wiersza; błę-  
dnym byłoby jednak twierdzenie, że poeta wziął myśl i założenie  
swojej poezji z rymotwórstwa pochlebcy Neronów. Myśli, zwa-  
szcza na wiek rozkwitłego szlachectwa u nas, jest w Szarzyńskim  
więcej niż w całej wielbionej odzie Horacego. Zarówno treść jak  
układ wiersza *O cnocie szlacheckiej* każe go uważać za utwór  
oryginalny. Prawda, że poezja Szarzyńskiego odbija w sobie  
wiersze 29—36 Ody, ale czyni to w formie całkiem samodzielnej  
i takiego doskonałego dwuwiersza, jak:

Mężna orlica gołębi nie rodzi,  
Ani mdły zając z dużych lwów pochodzi —  
niema w całej powołanej tu odzie łacińskiej.

(P. Red.)

Dzieła tak młodo zmarłego poety w części ule-  
gły zniszczeniu, przez pożar w domu woje-  
wody podolskiego Pretficza, <sup>1)</sup> a w części za-  
ginęły w obcych rękach. Dopiero w dwadzieścia  
lat po skonie poety (1601 r.) dzięki staraniom  
brata ujrzały światło dzienne. Przedtem je-  
dnak już były znane i cenione i niewątpliwie  
krążyły w podpisach po dworach szlacheckich, przy-  
najmniej w województwach sandomierskim i rus-  
kiem. Dowodu w tej mierze dostarcza dedyka-  
cja wydawcy zbioru Jakóba Szarzyńskiego,  
zwrócona do p. Jakóba Leśniowskiego, podcza-  
szego Ziemi Lwowskiej, przedrukowana w wyda-  
niach Muczkowskiego (1827) i Turowskiego  
(1858).

Tak więc dzięki staraniom i zabiegom Jakóba  
Sepa mamy ten niewielki zbiorek niezaginionej  
poezyi Mikołaja, który dzielnie i usilnie przy do-  
mowych zabiegach pracował dla sztuki. Kochał  
on bardzo swoją ziemię; był człowiekiem uczci-  
wym; pozostawał pod silnym wpływem duchow-  
ieństwa rzymskiego; praca ustawiczna była  
dlań podporą i pokarmem; nabożność i miłość do-  
dawały mu natchnienia i rozbudzały mu duszę, na-  
pełniając ją często gorzką miarką niespełnionych  
nadziei; kraj był dla niego wszystkim i wszyst-  
kiemu też z pokorą lub uwielbieniem się podda-  
wał — czcił wszystko, co ogół tylko za dobre uzna-  
wał; kochał wreszcie szczerze i serdecznie króla,  
a miłość tę uwydatnił w krótkim epigramacie:

Na obraz Stefana Batorego, Króla Polskiego.

Niebo — koroną, mężnym ojczyzna go zowie,  
A my go wyznawamy królem — Sarmatowie,  
Bóg, ojczyzna, postronni, tak go zdobią spólem,  
Że mu inszym nie trzeba słać się tytułem.  
Lecz nam tuszy ten umysł każdej cnoty żyzny,  
Iż go ojcem nazowiem tej nowej ojczyzny.

Młodo zgasły poeta rozwijał się bardzo świe-  
tnie... Choć nie miał takiej nauki, jaką posiadał  
śpiewak z Czarnolesia, to jednak dobrze i gładko  
władał piórem, dochodząc niekiedy w kolorycie  
poetycznym do prawdziwego pięknotwórstwa.  
W jego poezji przebija się wiele dramatyczności,  
dużo uczucia wolności, dużo, choć w części zapo-  
życzonych, lecz prawdziwie poetycznych zwrotów.

Niezaprzeczenie był to talent znamienity i stałby  
się nieporównanie większym, gdyby mógł być lepiej  
się rozwijać... a chociażby nie stworzył nam dru-  
gich *trenów*, to może, stęskniony, jak Dante opła-  
kiwałby w poezji namaszczonej religijnością mi-  
łość ku pięknej kobiecie.

Niestety, nie był tak szczęśliwym! Pasma na-  
dziei zerwała śmierć złowroga. Umarł zuany  
tylko przyjaciółom, jako kwiat dopiero rozkwit-  
ający.

Ogół narodu nie znał go wcale, nad gro-  
bem nie opłakiwał poety, na usypanej mogile nie  
zatknął liry przybranej zielonym wiankiem, nie  
uczcił pieśniarza tem, na co on całe życie swoje  
pracował... Zapomniano o nim i nie myślano wcale  
aż do XIX-go wieku. <sup>2)</sup>

1) O tem, że się znajdowały w posiadaniu Pretficza, świadczy  
X. Andrzej Wargocki w swoim: *Rzymie pogańskim i chrześci-  
jańskim*, wydany w r. 1610: „Pokazywał mi w bibliotece swo-  
jej JW. Jakób Pretficz z Gawron wojewoda podolski, (poorze-  
dnu kaszelan kamieniecki) skrypta Mikołaja Sepa Szarzyńskie-  
go przedniego poety“. (Ob. Juszyńskiego *Dykcjonarz Poetów  
polskich*); ale nie o tem nie wzmiankuje rodzony brat poety  
w przedmowie do wydania jego pozostałości rękopiśmiennej.  
Z przedmowy tej widać, że rękopisma Mikołaja lub odpisy ich  
mieli u siebie Pobidziński i Starzechowski. (Przyp. Red.)

2) Ani jednym słowem nie wspomina o Szarzyńskim Bentkow-  
ski. Przypadkiem książeczka z 1601 r. wpadła w ręce Tytusowi  
Działyńskiemu. Zaraz ją opisał Leleweł w swoich *Księgach bi-  
bliograficznych*, podając przytem wykaz wszystkich drukowanych  
do naszych czasów utworów Sepa. W 1827 r. uczony Muczkow-  
ski wydał je z egzemplarza Działyńskiego, jako pierwszy tomik  
zamierzonego wydawnictwa poetów polskich XVI i XVII wieku,  
pod tytułem, wiernie z pierwszego wydania odpisanym: *Mikołaja  
Sepa Szarzyńskiego rytmy albo wiersze polskie po jego śmierci  
zebrane i wydane. Roku Pańskiego 1601*, in 12-mo. Pierwsze  
wydanie było in 4-to, kart nieliczbowanych 19. Jest ono dziś  
niezmiernie rzadkiem.

Trzysta lat upływa od chwili, kiedy Mikołaj pożegał świat,  
zostawiając potomnym po sobie dzieła nieliczne i drobne, ale do-  
wodzące rzeczywistego talentu i, bez przechwałki narodowej, je-

## OSTATNI LIST

skreślił

A. Ch....

(Dalszy ciąg).

— Prayznaje — przerwała nagle Irena — uwaga  
pańska trafia mi do przekonania. Zdziwiła mnie  
ta uległość, niezgodna, jak się mi wydawało,  
z charakterem Ireny. Tego wieczora ciągle mó-  
wiła ze mną, sprzeczała się, lecz w końcu wszę-  
dzie przyznawała mi słuszność. Zrazu niespostrze-  
głem się, że był to pierwszy manewr kokieterii.  
Kiedy — śmy podali sobie ręce na pożegnanie, uczu-  
łem silny uścisk; wzrokiem magnetyzowała mnie  
prawie. Sprawiała na mnie wrażenie. Z począt-  
ku nie zdawałem sobie sprawy z rosnącej ochwi-  
la namiętności, lecz w miarę, jak się z nią częściej  
widywałem, w miarę, jak mnie pociągała swemi  
oczymi, poczęłem obojętniej patrzeć na Eugenię;  
ciche dziewczę, zamknięte w sobie, lecz głęboko  
wszystko czujące, wydało mi się błędem, jak jej  
cera, w porównaniu z Ireną. Rozmowa tej osta-  
tniej, świetna, błyszcząca dowcipem, była dla mnie  
czemś nadzwyczajnym; względy, jakie mi okazy-  
wała, lechtały moją próżność. Pogardzam sobą,  
Zenonie! Nie poznałem się na klejnocie prawdzi-  
wym; błyszcząca cacko, pozłacane — zwiódło mnie!  
Widać zbyt byłem szczęśliwy miłością Eugenii —  
los mnie ukarał.

W parę tygodni po przyjeździe Ireny, umiałem  
już tylko patrzeć w czarne, żarzące się, jak dwa  
węgle, jej oczy; szał dziki stłumił ciche uczucie.  
Poco tu narzekać na los i ludzi? raczej na siebie  
gniewać się powinienem. Irena tryumfowała;  
z egoistycznym, trzeźwym rozumem, czytając  
w mem sercu, jednego dnia podbijała mnie czulo-  
ścią zwodniczą, drugiego roznamiętniała obojętno-  
ścią, być może nieudaną. Poznała się na tem  
prędko Eugenia; wzrok jej, często smutnie, łzawo  
szukał mojego spojrzania: znajdował je na obli-  
czu Ireny. Co się tam działo, w tem biednym ser-  
cu, kochającego, tkliwego dziewczęcia! I jam-to  
był sprawcą tego wszystkiego. Czasami widywa-  
łem ślady łez; szczupła twarzyczka jeszcze się  
bardziej wyciągnęła. Serce mi się krajało; lecz  
naprózno wyrzucałem sobie przemieszanie: nie  
umiałem oprzeć się urokowi Ireny; widziałem

odne z najlepszych, na jakie zdobył się XVI wiek w całej Euro-  
pie. Czytaniem tych resztek od zagłady ocalałych potomność  
wynagrodzić powinna zapomnianemu poecie, i to zapomnienie, i  
trudy za życia, i boleść śmierci w wieku tak młodym, u samego  
początku tej drogi, którą los zwykł pierwwej kolcami najeżdzać, nim  
ją później, przy szczęśliwej odmianie, kwiatami usypie.

W ogólnym zbiorze *Rytmów Szarzyńskiego* mieszczą się obok  
poezji polskich także i łacińskie.

Szereg poezji polskich rozpoczyna się od *Napisu na statue*, po  
którym idzie sześć sonetów przytoczonych przez autora niniej-  
szego studium, sześć pieśni stanowiących psalmodyę i dziewięć  
pieśni różnej treści, a pomiędzy niemi tylko dwie nieprzytoczone  
tutaj: VIII *Iż rozum potrzebniejszy człowiekowi niż skarby* i IX  
*Iż próżne człowiecze staranie bez Bożej pomocy*. Po pieśniach  
następują 11 nagrobków (epitaphia), 4 ućinki (epigrammata),  
2 fraszki. Jeden doskonały ućinek odnalazł dopiero Maciejow-  
ski (*Piśmiennictwo polskie* tom III, str. 249). Turowski pozosta-  
wił go poza zbiorem i tylko w *Wiadomości o autorze* przezna-  
czył mu potrzebne miejsce. Gdy wymienimy jeszcze *Pieśń do Bo-  
ga z Boecyusza* i dwie znane już ze studium pieśni na cześć pan-  
ny Jadwigi Tarłówny, będziemy mieli wszystko, co się z rąk  
ludzkich, z dymu pożarów, z pod pras drukarskich do dni na-  
szych dostało.

Poezji łacińskich mamy tylko pięć; wszystkie pomieszcza Tu-  
rowski w swem wydaniu; najważniejszą z nich jest *Nagrobek Bo-  
lesławowi Śmiałemu*.

O Mikołaju Szarzyńskim, po wzmiankach Juszyńskiego i Le-  
lewela, pierwszy obszerniej pisał Kraszewski w *Nowych stu-  
diach literackich* (1843 r.); po nim i przeciwko niemu, a za Szar-  
zyńskim Maciejowski w pierwszym tomie *Piśmiennictwa pol-  
skiego*, str. 513 — 22. Zycwem prawie przepisał Maciejow-  
skiego p. L. S., autor opracowania *Rysu dziejów literatury pol-  
skiej* na podstawie notat Zdanowicza (t. I, str. 198 — 9 i 321 — 4).  
Wiszniewski (tom VII, str. 84) nie zatrzymał się dłużej nad Szar-  
zyńskim. W nowszych czasach na zaznaczenie zasługują studia  
pp. Sienkiewicza w *Tygułku* i Finkla w *Przeglądzie* z 1876 r. Praca  
p. Czajewskiego zesłała się z podobną pracą krytyczną Felicy-  
ana, którą zamieściło *Ateneum* warszawskie z Siernia i Wrze-  
śnia r. b. Przed kilku laty Felicyan miał o Szarzyńskim odczyt.  
(Przyp. Red.)



przepaść przed sobą, a jednak leciałem ku niej, gnany niczem niepowstrzymaną siłą.

— Powietrze miejskie szkodzi widocznie Eugenii—powiedziała pewnego razu jej ciotka—zmierniała bardzo—i zaczęto myśleć o wyjeździe na wieś. W przeddzień wyjazdu pływaliśmy pod wieczór łódką po Wiśle. Śliczna była pogoda, prawdziwie wiosenna. Słońce już zachodziło; ostatnie promienie ukośnie padały na wodę, złocąc jej powierzchnię. Cisza panowała uroczyście, tylko zdala dochodził odgłos gwaru miejskiego.

— Słońce chowa się za pagórki tak szybko—rzekła do mnie Eugenia głosem niewymownie smutnym—wracajmy do domu! Ciemno za chwilę będzie. Jasność znika prędko, promień światłości gaśnie, jak wszystko, co świeci i ogrzewa, co upragnione i dobre, jak szczęście—dodała zupełnie cicho—ja jednak słowa jej dosłuchałem.

— Zkądże takie smutne myśli?

Wtenczas już rzadko mówiłem jej: „Siostró“.

— Trudna odpowiedź—odrzekła Eugenia—z jakiego powodu smutne, poważne myśli zjawiają się w umyśle? Mężczyźni sądzą zwykle, że kobiety umieją tylko o strojach i rozrywkach myśleć; a tu tymczasem często kobieta wkroczy w dziedzinę mężką i poważnie się zamysli.

— Ale dlaczego teraz właśnie zamysłasz się pani tak poważnie?—spytałem bezwstydnie.

— To nie komplement dla mnie, że rozproszył tych czarnych myśli nie umiem.

O, wiedziałem dobrze, dlaczego smutny był ten anioł!

— Dlaczego teraz? Zbadać trudno: dlaczego, zkąd myśl się zjawia? Przyleci, jak ptak, kruk czarny, a gdy się raz w umysł wpije, nie łatwo już ją ztamtąd wyrwać. Czasami też przychodzi i bez widocznej przyczyny.

Na taki tór wprowadzona rozmowa urwała się nagle. Żał mi się zrobiło tego kwiatka, który, zaledwie żyć zaczął, już wydawał się złamanym, i zapragnąłem osłodzić Eugenii ostatnie chwile rozstania, nie rozumiejąc, że przyjęcie od niej jakichkolwiek dowodów względności przed wyznaniem jej ciężkiej winy, jaką sumienie swoje przytłoczyłem, dodałoby tylko do dawnego nowe jeszcze przestępstwo. Byłem dnia tego niezmiernie dla Eugenii grzecznym, uprzedzającym, z nią tylko rozmawiałem, choć rozmowa się nie kleiła; unikałem zazdrosnego wzroku Ireny: słowem, próbowałem wrócić dziewczęciu, choć na chwilę, dawne, szczęśliwe godziny; musieli jednak wszyscy widzieć nieszczerość w całym moim zachowaniu się. Przybiliśmy do brzegu w miejscu błotnistym: trzeba więc było ostrożnie po deskach przechodzić. Na zakręcie leżał stary ster złamany; Eugenia stanęła na nim i obróciła się, by na rzekę raz jeszcze spojrzeć. Chcąc przecie coś powiedzieć, bo milczenie mi ciążyło,

— Pani stoi na kotwicy—rzekłem. Wistocie ster ten formą swoją przypominał nieco kotwicę.

— Nie zgadzam się—odpowiedziała Eugenia—trudno w nim dojrzeć symbol nadziei. Ostatnie słowa wymówiła zupełnie cicho. Odezwały się we mnie wyrzuty sumienia.

Przed samym wyjazdem, poprosiłem ją o fotografię.

— Nie mam teraz—odpowiedziała.—Jeżeli pan będzie o mnie pamiętał, fotografia okaże się zbędną, jeżeli zaś przeciwnie się stanie, to jej już nie potrzeba.—Żegnaj pana!—Życie nami rzuca, jak piłką; pytanie: czy się kiedy zobaczymy?

— Siostró!—dlaczego żegnasz mnie tak poważnym tonem?

— Życie—nie zabawka—odrzekła dziewczę z dumą na czole—i biada tym, co je za zabawkę mają!

Prócz mnie nikt tego nie słyszał. Pozostałem w miejscu, jak wryty. Zbyt się winnym czułem, abym się mógł zdobyć choć na jedno słowo usprawiedliwienia. Boże! dlaczego był ślepy?

Irena pozostała w Warszawie; często ją widywałem. Oh, te oczy, oczy! Szał mój wzrastał. Lecz jakaż różnica była pomiędzy tą namiętnością a miłością idealną, jaką pierwaj żywiłem ku Eugenii! Tu—wdzięki ciała drażniły moją wyobraźnię; tam pociągała powiewna postać anioła, na którą patrzyłem ze czcią najwyższą. Różnica była wielka, niezmierną. Pod czarnymi kłębami dymu, jaki wydawał z siebie szal dla Ireny, kryło

się może jeszcze jasne uczucie prawdziwej miłości ku Eugenii; w owej chwili jednak nad duszą moją nie świeciło nic, prócz ognistego obłoku namiętności, która mnie opętała.

Przy tem wszystkim główna idea życia mojego na chwilę mnie nie opuszczała. Przystałem boleć nad niepowodzeniem swoim, bo pracowałem nad nowem dziełem: postanowiłem wydać improwizację, powstałą pod wpływem miłości ku Eugenii; zamierzałem jednak poświęcić ją Irenie. Nieszczęsny szal zaczynał mnie już pozbawiać rozsądku, prawości, wstydu, uczuć moralnych.

Z myślą o dziele, które, jak sądziłem, wsławił mnie miało, przechadzałem się po brzegu Wisły, rzucając wzrok na mętne fale rzeki. Mimowoli nasunęło mi się porównanie wartkiej wody z mojem życiem własnem:—Nieujęta sztuką w ramy kamienne—nieuregulowana, rzeka bieży nieprawidłowo, jak ją matka-natura na ten świat wyprawiła; tu głębina, tam mielizna, utrudnia żeglugę. Rzeka zużywa swe siły na podmywanie stromych brzegów: wałę się więc, leca w przepaść—piasek i kamienie, łożysko się zanieczyszcza: a dlaczego? Bo dotąd człowiek usiłowań nie dołożył, by ją pod prawo swoje podbić. Tak i moje życie, główne dążenie życia mojego, nie szło właściwymi tory, źle był talent użyty, skierowany nieudolnie.

Chodziłem po brzegu i dumalem. Wreszcie rzekłem do siebie głośno:—Tak albo nie!—wydam swój utwór, i albo się sławnym stanę, albo.... Zdania tego nie chciałem dokończyć.—Bez wątpienia, muzyka moja rozzbroi wszystkich! Tylko nieco pracy, a....

— Dojdziemy do sławy!—dokończył ktoś za mnie. Odwróciłem się szybko: ujrzałem o kilka kroków młodzieńca. Stał w dumnej postawie, ze wzniesioną nieco laską w rękę; bladą twarz, wśród której błyszczwały wielkie piwne oczy, okalały włosy hebanowe i bródka; sympatyczne rysy rozjaśnione były uśmiechem.

— Nie znasz mnie, panie Konradzie—rzekł po chwili—lecz ja cię znam! Przepraszam, że przerywam samotność twoją i—dodał z uśmiechem—dumania o sławie. Dążmy do niej wspólnie: pan poeta jesteś w dziedzinie tonów, za poetę również ja uważam siebie—w dziedzinie myśli. Ja zrozumieniem—pana, pan—mnie.... Stwórzmy wspólnie dzieło, któreby nas obu unieśmiertelniło, stwórzmy operę. Treść, na siebie biorę, pan—dostarczysz muzyki. Tylko takim sposobem powszechność cała pozna nas i—oceni należycie....

— Zgoda!—odrzekłem.

Odtąd mieliśmy pracować razem, nad jednym dziełem. Roman—takie imię nosił poeta—był znany dotychczas jako autor wierszyków ulotnych, i paru, dość miernych, co prawda—nowelek. W umyśle jego już istniały zarysy dzieła, które nam miało otworzyć wstęp do panteonu narodowego. Jak mnie, tak i jego trawiła niezmożona żądza sławy: dla niego poświęcilibyśmy—wszystko. Jedynym marzeniem naszym było: stanąć na szczycie sławy. Pracowaliśmy też żarliwie. Ja niekiedy nawet zaniedbywałem sposobności widzenia się z Ireną. Roman często przychodził do mnie, przerabiał sceny razem ze mną. Zgadaliśmy się zawsze w miejscach spornych, jeden drugiemu ustępował, a częściej on mnie, niż ja jemu. Opera miała być pięcioaktową, z czasów wyprawy wiedeńskiej, pod tytułem: *Jan Sobieski*; główna jednak akcja skupiała się około jednego z „towarzyszów pancernych“ wojska polskiego. Scena kolejno przedstawiała obóz polski, wewnątrz Wiednia, wreszcie obóz turecki. Największą nadzieję pokładaliśmy we wzniosłych ustępach i niezwykłych melodiach; bo czegoż tam nie było? I hymn starożytny *Boga-Rodzica*, i piosnka obozowego ciury, a obok tego pieśń z *Koranu*, dziki śpiew spachów i kapela janczarska, mazur i czardasz obok tańców wschodnich. Niemało liczyliśmy na malowniczość dekoracji i świetność ubiorów polskich i wschodnich; w najgorszym zaś razie sądziliśmy, że za samą treść pomysłu, obudzającego uczucia patriotyczne, należy się od publiczności „bravo“ autorom.

Zdarzało się wtedy, że nieraz długo ślęczyliśmy: Roman nad starożytnymi książkami, szukając słów staropolskich, któreby ubarwiały dyalog,

oraz badając ducha epoki, ja—nad utworami mistrzów, którymi pierwaj pogardzałem, a których teraz już zwolna podziwiałem. Ten zbawiający zwrot w mojej działalności mógłby był przynieść owoce, lecz zarozumiałość znowu stanęła mi na przeszkodzie. Roman kiedyś powiedział:

— A co? jednak zaczynasz cenić swych mistrzów—poprzedników!

— Eh!—odpowiedziałem pogardliwie, — nie oni nie warci!

Powtarzając to ciągle, tembardziej w moim błędzie się utwierdzałem: do pomyłek dodawałem pomyłki: niedziw więc, że od dzieciństwa spalone pojęcia coraz bardziej zbaczaly z drogi rozsądku. Im więcej pracowałem, tem się mniej udzielałem towarzystwu.

— Pan zupełnie zapominasz o nas!—rzekła mi pewnego razu Irena.

— Przepraszam!—odpowiedziałem.—Wie pani, że w ślicznej roli branki tureckiej, którą towarzysz pancerny oswabadza, Roman panią odmalował, a ja najpiękniejsze melodye w usta pani włożę—ciągle więc panią mam na myśli...

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

Nowe sztuki: *Rozbitki*, komedia w 4 aktach, *Józefa Bliziskiego*.—*Sila złęgo na jednego*, dyalog w 1 akcie wierszem, *Wacława Szymanowskiego*.—*Grube ryby*, komedia w 3 aktach, p. *Michała Bałuckiego*.—*Książę Mnich na Kujawach*, obraz historyczny z XIV wieku, w 6 aktach a 8 odsłonach, przez *Ad. Wł. Piotrowskiego*, oryginalnie napisany.—*Sama*, komedia w 1 akcie, z francuzkiego; autor *Ployvier*.—*Biedni*, obraz ludowy w 5 odsłonach, p. *Leopolda Swiderskiego*.—P. *Ładnowski* w rolach *Perdiciana* i *Leara*.

(Dokończenie).

P. Michał Bałucki obrał sobie bardzo dobre zadanie do komedyi 3-aktowej *Grube ryby*. Starzy kawalerowie, jeden Wistowski, kapitalista, drugi Pagatowicz, urzędnik, ulegają zwykłej chorobie starych kawalerów: zarozumiałości, że mogą być jeszcze doskonałymi partycjami dla młodych zupełnie dziewczątek, a niechcąc się dać złapać—charakterystyczne znamie wszystkich *tempi passati*—sami wpadają w matnię natury i rozkochują się w panienkach. Śmieszni, gdy się bronią od mniemanych ataków, śmieszniejszymi się jeszcze stają, gdy później sami do ataku idą. Dziewczątka żartują z nimi, a bawiąc się, chcą ich amory dla siebie wyszukać. Jedna (Wanda) ma główkę zajętą nauczycielem muzyki, bratankiem owego kapitalisty (Henryk), drugiej (Helenie) idzie tylko o jedwabną suknię, którą ów urzędnik mógłby nabyć korzystnie w Wiedniu. Wywiązuje się *qui pro quo* i *quod pro quo* i obaj marcowi, raczej kwietniowi już, kawalerowie, wstydząc się jeden drugiego, składają broń, której już ramiona ich nie podolają. Wandzia, otrzymawszy od rodziców przyrzeczenie Wistowskiego, idzie za Henryka, także Wistowskiego; Helence Pagatowicz z Wiednia przywiezie upragnioną suknię.

Gdy dodamy do tego dwoje sympatycznych starsuszków Ciaputkiewiczów, dziadków Wandzi, sprzeczących się cochwila i cochwila godzących zrzędów; gdy sobie wyobraźmy humor, jakim p. Bałucki sztuki swoje ożywiać umie; gdy pomyślimy o nadzwyczaj miłej, swojskiej atmosferze, jaką wszystko w *Grubych rybach* oddycha: pojmiemy łatwo zadowolenie widzów i powodzenie sztuki. Są tam wprawdzie zwykłe p. Bałuckiemu wybryki tłustego dowcipu i niezupełnie eleganckiego a prawdopodobnego humoru, są rzeczy przeciągnięte i niedociągnięte, jest gruby, nieartystyczny rysunek i nieporządnie rozwiązana intryga: ale przy wszystkich ujemnościach swoich *Grube ryby* stanowią miłą bardzo zabawę, która z większym prawem od innych p. Bałuckiego utrzymać się będzie mogła na scenie. Starzy kawalerowie podchwyceni są wybornie, czy-to kiedy się bronią od napaści i grzechu, czy kiedy sami później do napaści przechodzą, ukrywając zawsze starannie, jeden przed drugim, własną swą niemoc. Wistowski w czepcu jest wybornym. Zasadnicza myśl sztuki:



owa starokawalerska zarozumiałość, mogła była wydać z siebie nietylko krotoczwłękę, ale rzeczywistą komedię; p. Bałuckiemu jednak z trudnością zawsze przychodzi rozpoznanie między graniczej między jednym i drugim rodzajem komedyo-pisarstwa.

P. Ad. Wł. Piotrowski na pierwszy swój popis dramatyczny obrał sobie przygodę Władysława Białego, księcia gniewkowskiego, w Złotoryi, opisaną tak żywo i dramatycznie przez Jul. Bartoszewicza w *Encyklopedyi* większej S. Orgelbranda, że prawdziwie wolimy ten opis, niż wszystkie utwory dramatyczne nowszej literatury naszej o wicherzycielu, niezasłużeniu, lub może tylko dotychczas nieumiejtnie, na postać tragiczną erygowanym. Może wielki jaki talent intuicyjnie dostrzeże w nim i pochwyli żywioł tragiczny: w dotychczasowych utworach poezji naszej żywiołu takiego, mimo najlepszej chęci, nie mogliśmy się dopatrzeć. Człowiek, co w mgle XIV w. idzie do dalekiego klasztoru, z żalu po kobiecie ukochanej i z murów klasztornych, gdzie mu było ciasno i duszno, przychodzi upomnieć się o *swoje* księstwo, a potem walczy i w walce upada, nową żądzą władzy oplatając nową miłość dla kobiety—człowiek taki istotnie zdaleka wygląda bohaterem i tragicznie i nęci ku sobie poetów: ale gdy się zbliżka, w świetle historii, temu bohaterowi i jego przygodzie tragicznej przyjrzeć zechcemy, powab zniknie, a zjawisko okaże się złudzeniem. W samej przygodzie złotoryjskiej niema wcale tragiczności. Człowiek, który najpierw źle walczy, a walczy tylko za siebie, który potem się spokojnie poddaje i za wszystko, co utracił, przyjmuje wynagrodzenie pieniężne; idzie znowu do klasztoru, teraz już nie do Dywionu, ale na Węgry, aby znowu przy sposobności złamać umowę i kraj zawichrzyć, a później osiąść gdzieś nad Morzem Północnym i na tem jeszcze nie poprzestać: to raczej awanturnik, uparty w swoim, niż bohater, któryby z majestatem jednego, jedyne, szlachetnego uczucia przez życie całe, lub tylko chwilę jego najwyższą, przeszedł. Powtarzamy jednak, że wielki talent może te formy najogólniejsze, jakie nam z człowieka pozostały, taką treścią ogólnie-ludzką wypełnić, iż zdola z nich wytworzyć rzeczywistego bohatera tragedyi: na nieszczęście tylko dotychczas jeszcze talent taki nie zabrał się do opracowania opowieści historycznej o „Władysławie Białym”. P. Józef Kościelski usiłował go przedstawić bardzo poważnie i w początkowych, lirycznych scenach rzeczywiście ukazał zjawisko wspaniałe; ale później, gdy się już dramat zaczyna, skrzydła autorowi opadają i jedna tylko postać kobieca w całym utworze istotnie tragiczną na zwać się ma prawo.

Potrębną wiązkę wydarzeń historycznych do swego obrazu wzięł p. Piotrowski dość wiernie z Naruszewicza; wierniejszy w tem od p. Kościelskiego, który usunął z utworu swego zupełnie Krzyżaków, ale nie dość jeszcze wierny, bo pozostawiał niepotrzebnie osoby. Ale z tak czy owak dobranych wydarzeń co zrobił autor *Księcia Mnicha*? Żal nam powiedzieć, że dla sztuki nic: jego utwór nie daje nam, ani jakotako scharakteryzowanej osobistości księcia Władysława, ani wielkiej historii współczesnej, ani mniejszej od niej historii zdobycia Złotoryi przez Sędziwoja, ani ludzi historycznych, ani istot żywych, ani dziejów dwójga serc, księżęcia i mieszczańki, którą autor na żonę Bartosza przetworzył, chociaż zdaje się, że dzieje te były dla autora benjaminkiem. Dramat p. Piotrowskiego, mimo różowego szkła, przez jakie patrzeć nań usiłujemy, jest tylko nawiązaniem na jeden sznur szeregiem scen, przedstawiających jaknajbardziej powierzchowne wydarzenia, że tak powiemy, skórę zdartą z dziejów, bez dusz, któreby martwe formy wypełniły. Do wyjątków zaliczamy: rolę Krzyżaka z Drezdenka w akcie I, upijanie się Krystyna w odsłonie (czy też akcie II) i wreszcie wybuch miłości Władysława dla Hanny. Są to momenta szcześliwsze od innych a drugiemu jeszcze szkodzi zbyt zbytnia rozciągłość. Pan Piotrowski, poczynając jeszcze autor, zrobił zły dramat, ale dobry początek: zamiast pisać *Życia warszawskie, Śmiechy i płacze krakowskie i lwowskie* i t. p. sowidrzalstwa, wzięł się do rzeczy poważnej, i to mu pochwalić

należy; ale jako dramaturg, ma jeszcze wszystko do wyrobienia w sobie, i pytanie: czy mu się ta robota kiedykolwiek opłaci? Takich dramatów, jak *Księżę Mnich*, ani Brodziński nie chciał, ani dzisiejsza estetyka nie pragnie.

Młody malarz p. Armand Destré wraz z Achillesem, nauczycielem niegdyś a teraz przyjacielem swoim, zabłąkał się w Owernii. P. Plouvier zrzucił, że noc fatalna zaskoczyła go przed dworem dawnej jego towarzyski młodości, Krystyny de Thévannes. Oczywiście, po różnych przejściach, starciach, wyzwaniach i przebraniach, po wypowiedziach i wyspierywanych słowach, kończy się wszystko małżeństwem. Taką jest *Sama*, słucha się jej mile i wynosi z niej wrażenie sielanki trochę już dojrzałej. Błahostkę tę przedstawiono w Teatrze Letnim; prym w niej trzymał pan Chomiński jako Achilles; nieźle się przy nim zachowywali: panna Czakówna i p. Prażmowski.

Pan Leopold Świdorski, przed dwoma laty wcale jeszcze prawie nieznamy, dziś ma już imię rozgłośnie, dzięki teatrowi, dla którego napisał dwie sztuki ludowe i dwie szlacheckie a raczej ziemiańskie. Pierwsza ze sztuk ludowych, i w rzędzie utworów nowego naszego dramaturga podobno najwcześniejsza, *Pokusa*, zdradza się z pierwotnością swoją w niezręcznych, naciąganych położeniach i charakterach bez charakteru; *Ojcowizna* choruje na tendencją przeciwdydowską, niesceni-czność i brak należytego ładu; *Jesienią*, jest bardzo miłym obrazkiem, w miarę ożywionym, przejętym lekką, ośmieszającą raczej, niż gryzącą satyrą, z wcale już udatnemi postaciami, którym prawdy życia odmówić nie można; *Biedni* wreszcie, przedstawieni w teatryku Bellevue w dniu 10 Września r. b., są już sztuką ludową w całym słowa tego znaczeniu, przedstawiającą nam lud warszawski, pogrążony w niedoli złych namiętności i złych wpływów i skarżący się widzowi, wymową samych wydarzeń, na nieszczęścia i biedę swoją. P. Świdorski odczuwa lud; ma więc kardynalny w sobie warunek do pisania sztuk ludowych; nie tworzy jeszcze i nie pisze dobrze, ale przejawiający się w jego wytwórstwie postęp daje rękojmią, że pisać będzie lepiej i może zczasem rzeczywiście w literaturze naszej zyska sobie zasłużony tytuł dramaturga ludowego. Mówiąc to, nie mamy bynajmniej na myśl ograniczania go do pewnego tylko rodzaju dramatu; cała wielka dziedzina tej najbardziej ludzkiej ze wszystkich sztuk ludzkich stoi dla niego otworem, zaprasza go do siebie uśmiechnionym jeszcze, jasnym, od chmur niepowodzenia i ciemności wielkich błędów wolnym, widnokretem. Może p. Świdorski tworzyć jeszcze tragedye, dramata z głębokością psychologiczną sztuki wyższej; ale dotychczas wyobrażamy go sobie jako pisarza ludowego i nie widzimy wcale: dlaczego nie miał iść dalej drogą, na którą raz wszedłszy, dowiódł rzeczywistego talentu i wytworzył, jeśli nie całe sztuki, to postaci i sceny zasługujące, nietylko na pochlebne wzmianki, na pochwały kolegów i przyjaciół, ale na istotne, szczerze bez pochlebstwa, uznanie krytyki.

W *Biednych* mamy historią czeladnika krawieckiego Jana Zawrzała, który niedawno się ożenił z biedną dziewczyną, córką posłańca publicznego, naprzekór niejakej Flajszerowej, rzeźnicze, wdowie z dwiema córkami i jednym synalkiem. Chłopak poczciwy, prawy, pracowity, przytem jednak słaby a żywym obdarzony temperamentem, w pracy zebrał sobie już paręset rubli; ale o los tego zasobu na czarne godziny mocno obawiać się ma prawo jego Anusia, aby go nie strwoił w towarzystwie ludzi upadłych, do którego przylgnął był, nudząc się trochę w domu. Sztuka rozpoczyna się właśnie od walki obowiązku z pokusą; po wielu ruchach wahadłowych, bardzo dobrze z natury pochwyconych, Zawrzała przechyla się ostatecznie, pod działaniem fałszywej ambicyi, na stronę kolegów od kufa i wybiega z domu. W tej chwili już dobry anioł od niego odlatuje. Zawrzała ze szczebla na szczebel coraz niżej schodzi; aż opuszczony zupełnie, odarty, z mózgiem przepalonym od wódki i piwa, ofiara Flajszerowej, która go teraz odzyskuje, pośmiewisko łotrów, którzy go na złe ciągnęli, bez grosza, który zmarnował na hulanki, bez roboty, którejby mu nikt teraz nie powierzył, niezdolny nawet do myślenia

o pracy, wzięty za złodzieja i jako złodziej ściągany—chroni się wreszcie do własnego domu. Pali go tu, piecze pod stopami: ucieka. Wróci wsamem zakończeniu sztuki; ale ponieważ się niczego w życiu nie odzyskuje, więc i Zawrzała już nie będzie człowiekiem. Podczas jego hulaszkiej kampanii splakaną żonę wypęda nielitościwy gospodarz na bruk, wraz z dziecięciem w kołysce; przed zlicytowaniem ochrania ją tylko żyd Aron; później daje jej opiekę swoją i pomoc jakaś nieznamo pani—i tak wśród cierpienia i tęsknoty nadchodzi dla niej chwila powrotu męża, którego nie przestała kochać. Oto cała historia w głównym swem założeniu, nie nowa, nie uderzająca nadzwyczajnością wydarzeń i głębokością nieszczęść, historia *Syna marnotrawnego, Szulera* i nieskończonej liczby sztuk i powiastek tendencyjnych, moralnych: a jednak ten „obraz z życia ludu warszawskiego“ nowym jest zupełnie; poraz pierwszy ujrzelśmy tu na scenie w takiej pełni lud warszawski i jego życie, jego typy charakterystyczne, jego niedole i zabawy, jego płacze i śmiechy, jego popędy i dążności, jego naturę prawdziwą,—i nie bez wzruszenia odchodziliśmy od zasłony po ostatnim akcie.

P. Świdorski lękał się deklamacyi i melodramatyczności i, w obawie tej zadaleko się zapędziwszy, charaktery dodatnie sztuki pościęśniał a ujemne nad miarę rozszerzył. Wyborne, choć niezręcznie w działanie wprowadzane postaci: czeladnika Niemca, byłego obywatela-rozbitka, może owego Kotwicza Czarnoskalskiego, wreszcie pokątnego doradcy, ex-dependenta, ciężą na samym Zawrzała i przygniatają go ze szkodą dla głównego założenia. Ich rozmowy, ich wybryki, ich zabiegi, ich popisy oratorsko-flozoficzne zbyt wiele czasu i miejsca zajmują, nie przedstawiając w całości swej dostatecznego urozmaicenia, ani w przejawianiu się wystarczającego powodu. Zawrzała samego pragnęlibyśmy częściej i dłużej na scenie widzieć, i z taką przynajmniej głębokością duchową, z taką umysłową zasobnością, jaką miał w pierwszym akcie sztuki. Zamiast posyłać Flajszerową do Zawrzała, lepiej było posłać Zawrzała do Flajszerowej i przedstawić chwilę zerwania i odrzucenia, któreby jeszcze bardziej zożydziło złe drogi, przez brzemie pogardy, jakiego nawet taka Flajszerowa na zbląkanego stoczyć musiała. Rodzina Flajszerów około starzejącej się już przekupki dobrze odmalowana. Żaloty Lelusia do Anny same z siebie wypływają. Scena między synem i matką, bardzo ślizka, niebezpieczna, odbyła się bez wielkiego zgorzienia, a litość okazana przez rzeźniczkę złagodziła jeszcze jej koloryt. Anusia sama jest dość bladą, dziwnie energii pozbawioną istotą: nie tak wygląda przeciętna białogłowa z ludu warszawskiego. Z gospodarzem domu, z dorożkarzem, nie umie sobie dobrze radzić autor, niezręcznie ich wprowadza i wyprowadza; udatniejszą jest trzecia figura na pokaz wytworzona: restaurator. Poczciwy starowina Marcin, zacny stróż Jacek, pozostaną jednymi z najmilszych wytworów sceny ludowej. Jeśli wsadzenie gospodarza domu w sztukę nie udało się autorowi, to jeszcze gorzej powiodło mu się z licytacją: całe to „Na ulicy“ potrzebaby jeszcze raz napisać. Widzimy tu jedną tylko uczciwą postać po stronie publiczności: radej skorzystał z nieszczęścia ludzkiego: Arona. Postępek jego ma być kluczem do rozwiązania kwestyi żydowskiej. Autor, nazbyt nieprzychylny w *Ojcowiznie*, uczuł w *Biednych* potrzebę reakcyi, oczyszczenia i sprostowania swych pojęć i z tego jedyne w sztuce Izraelity wytworzył chodzący morał, wzór rozsądku i prawości. Postać ta występuje wskutek jedyneści swojej w roli typu i jako taka prawdziwą być nie może; zasługą jej wszakże w stosunku do słuchającej publiczności jest wpływ dodatni na umysły przepojone wieloma krzywdzącymi, niesprawiedliwymi uprzedzeniami.

Utwór p. Świdorskiego w całości swej jest zanadto rozciąglony i trochę nuży widza; są nawet w nim miejsca nudne, ale tak nieliczne, iż nie zdolają zatrzeć ogólnie dodatniego wrażenia, jakie się ze sztuki wynosi. Sądzimy, że młodego autora tylko zachęcić do dalszej pracy możemy wytknięciem mu usterek, od wszelkiego początku nieodłącznych i nawet w pełni już zawodu wybaczalnych, jeśli je okupuje zdolność odmalowywania



człowieka i życia, w dramacie i powieści najważniejsza ze wszystkich darów talentu, a tę zdolność właśnie p. Świdorski na bardzo okazałym stopniu posiada.

P. Ładnowskiego widzieliśmy w roku bieżącym na scenie Teatru Letniego w rolach Perdicana i Leara. Artysta lwowski ma bardzo rozległą skalę ról i na tej skali porusza się ze swobodą właściwą długoletniej pracy i wprawie. Oprócz wprawy p. Ładnowski posiada i zdolność rozumienia ról; ale jego postać jest tak sztywną, jego duchowość tak niekorzystnie dla sztuki ukształtowaną, jego wzrok tak nikłym, jego głos tak bezdźwięcznym, martwym i słabym, że i o wyższości jego artyzmu szczerze, bez pochlebstwa, którego artysta nie żąda a krytyk dać-by nie mógł, nie podobna nawet mówić. Do ról takich, jak sofistyczny Mussetowski *On ne badine pas avec l'amour*, p. Ładnowski nie posiada już dość młodości w artystycznym mechanizmie swoim; jest oschłym, zimnym, sztywnym; serca w nim nie czuć, krwi tentna nie czuć; słucha się deklamacyj cieniowanej poprawnie, nie widzi się duszy buchającej pod słowami. Brak zapału i siły; to kardynalna wada artyzmu p. Ł. z jego strony duchowej; brak głosu: to niczem już usunąć się niedające złe tego artyzmu ze strony fizycznej. P. Ładnowski nie psuje ról, ale ich też nie naprawia. Słuchając go, wiemy czego chciał autor, tylko tego, co wiemy, nie widzimy na scenie, w odtworach żywych, w któreby artysta własne życie swe tchnął. *Lear* p. Ładnowskiego, po tem, cośmy przed p. Ładnowskim widzieli i co z historii teatru znamy, doprawdy nie ma racji bytu na scenie. Przed paru laty, podczas pierwszych wystąpień p. Ładnowskiego na naszej scenie w rolach szekspirowskich, mogliśmy jeszcze mieć jakieś nadzieje, marzenia czy złudzenia; dziś nie mamy ich już wcale. Jesteśmy szczerzy: na *Leara* artysta porywać się nie powinien; lepiej na małym a pewniejszym poprzestać, niż po większe a zawodne sięgać. P. Ładnowski zawsze i wszędzie jest i będzie artystą użytecznym, ale wybitnym — nigdy.

Na przedstawieniu *Nie igrać z miłością* nie dziwiły nas oklaski dawane dwóm *ojcom*, ośmieszonym przez Musseta, bo tłum, mniej czy więcej salonowy, kosztem Jezuitów i wogóle księży ujemnie na scenę wyprowadzanych bawić się lubi; ale nas uderzyły oklaski dawane Perdicanowi, a obojętność dla Kamilli, chociaż to, co mówi druga, jest daleko więcej warte od tyrał naturalistycznych pierwszego, i sam jej charakter nieskończenie wyżej stoi, i rola w sztuce, biegunowo przeciwna roli Perdicana, wdzięczniejszą jest i moralnie doskonalszą. Taką-to potęgę posiada frazes i tak wżera się sofistemat w umysły, powolne w nich sprowadzając zepsucie pod wpływem tychsamych czynników, których powołaniem właśnie jest praca skryta, mimowolna, że tak powiemy, podstępna, nad poprawą uczuć moralnych widza! Musimy się już psuć, skoro nas Perdican zachwyca tak dalece, iż nie czujemy, ani jego sofistycznego mędrkowania, ani nieprawości, ani lichoty duchowej, każącej mu się przerzucać od dziewczęcia klasztornego do dziewoi wiejskiej i od tej znowu powracać do tamtej — a wszystko to bez uczucia krzywdy i odpowiedzialności za dwa życia lekkomyślnie wydarto. W naszym teatrze mamy prawo domagać się publiczności lepiej dobranej, lepiej rozumiejącej sztukę i lepiej odczuwającej moralność.

Stanisław Krzemiński.

## TRZĘSIENIE ZIEMI

W POJĘCIACH LUDÓW PIERWOTNYCH

przez

Bronisława Grabowskiego.

W wygłoszonych w tym roku dwóch odczytach o katastrofie Zagrzebskiej i trzęsieniu ziemi w ogólności prelegent, p. Szczepaniak, dotknął kwe-

sty: w jaki sposób różne ludy tłómaczyły sobie i tłómaczą przyczyny tego zjawiska? Pozwalamy sobie podjąć tę kwestyę i w krótkim zarysie przedstawić, gdzie człowiek pierwotny szukał przyczyn groźnego objawu złowrogich sił przyrody, przyczyn, które do dziś dnia jeszcze nie są całkiem wyjaśnione.

*Magnum mysterium Dei*, wielką tajemnicą Bożą — nazwał trzęsienie ziemi prelegent, mówiąc, że żadna z istniejących dotąd hipotez, tak geologicznych jak i meteorologicznych i astronomicznych, dostatecznie zjawiska owego nie objaśnia, i że chyba w tym celu należy się uciekać do zbadania wszystkich tych czynników w ich łączności. Prawdziwa nauka nieśmiało, ostrożnie stawia swoje teorie, szukając uzasadnienia ich w szeregu faktów, nadstawiając ucha na wątpliwości, na dowody przeciwnie; tylko nieuk lub półuczony zuchwale wyjeżdża ze swymi pojęciami, domagając się od innych bezwarunkowego ich uznania. Człowiek pierwotny stał na tem ostatnim stanowisku, łątwo wynajdywał w swych fantastycznych wytworach tłómaczenie największych zagadek przyrody, wierzył w nie ślepo i gotów był wiarę tę, choćby pięścią, innym narzucać. Fanatyzm i nietolerancja są zwykłymi przymiotami społeczeństw na niskim stopniu oświaty stojących. Dla ludów pogańskich trzęsienie ziemi było, tak, jak i dla nas, straszliwą, groźną katastrofą; ale przyczyna jego nie wprawiała w kłopot dziecinny umysł; fantazyja młodociana wytwarzała dla wytłómaczenia go nowe mythy, splatając się harmonijnie z pozostałymi wierzeniami i wciągu wieków, na różnych miejscach podległe zmianom i przekształceniom. Podstawą tych mythów był *animizm*, ożywianie przyrody; ziemia trzęsła się, bo poruszała się jakaś olbrzymia, żywa istota, na której ziemia spoczywa.

Dziś jeszcze na wyspie Tonga, w grupie Wysp Przyjacielskich, w Polinezyi, krajowcy opowiadają, że pod ziemią leży wyciągnięty stary olbrzym *Mau*, a ilekroć przewraca się, by mu wygodniej było, ziemia się trzęsie; ztąd hałasują, krzyczą, biją obuchami w ziemię, aby stary leżał sobie cicho. Na wyspie Celebes panuje przekonanie, że świat leży na wielkim *dziku*, a gdy ten trze się o drzewo, powstaje groźna owa katastrofa. Według Indyan północo-amerykańskich ziemia jest niczem innym, tylko olbrzymim żółwiem i, poruszając się, wywołuje owo zjawisko, a Karaibowie, czyli właściwie Karybowie, powiadają, że ziemia wtedy tańcuje. U Kamezadłow panuje przekonanie, że bóg Tuil jeździ pod ziemią saniami, a gdy psy jego otrząsają się z pasożytów lub ze śniegu, następuje trzęsienie ziemi. W Japonii, gdzie, podobnie jak w Ameryce, siły wulkaniczne groźnie pracują, lud sądzi, że ziemia spoczywa na ogromnym wielorybie; gdy więc trzęsie się, powiadają, że „znowu wieloryb przewraca się pod ziemią”. Według Indów ziemia spoczywa na czterech, nawet na ośmiu, słoniach, a gdy który z nich, zmęczony dźwiganiem ciężkiego brzemienia, potrząśnie głową, ludzie odczuwają trzęsienie ziemi. Rolę tych słoniów u Mongołów gra żaba, u innych ludów muzułmańskich — byk.

Podanie o wielorybie wypłynęło z wyobrażenia ziemi, spoczywającej na wodach morza wszechświatowego. Pojęcie, że ziemia jest płaszczyzną, otoczoną ze wszech stron oceanem, panowało w geografii Starożytnych i w Średnich Wiekach nawet, póki nie wzięła góry teoria Ptolemeuszowa, głosząca, że ziemia jest okrągłą. Na zasadzie owego złudnego pojęcia Alexander Wielki dążył tak skwapliwie do Indyj, ciesząc się nadzieją, że dotrze do oceanu i tym sposobem krańce ziemi osiądzie.

W mythologii klasycznej skutek wyobrażenia powyższego trzęsienia ziemi zależnym było od boga mórz, potężnego Pozejdona (Neptuna). Dla Greków, których pobraża i wyspy Morza Egejskiego nie mało od tej klęski nieraz ucierpiał, bóg ów był wstrząsającym ziemię, przez uderzenie trójzębem w jej żebra, przez co chwiała się w najgłębszych posadach. *Iliada* w księdze XX opisuje taką katastrofę wczasie walki bogów. Zeus z góry grzmiał i miotał błyskawice, Pozejdon z dołu wstrząsał ziemię, a Aidoneus (Pluton), władca cieni, przerażony, zeskoczył ze swego

tronu, lękając się, by mu Pozejdon sklepienia niburzył nad głową. W Sparcie, na wyspach Archipelagu, zwłaszcza na Sporadach, wzywano Pozejdona wczasie takiej klęski, a wszelkie pęknięcia i szczeliny w skałach, po wyspach i pobrażach, przypisywano ciosom trójzęba Pozejdonowego. Inny myth dopatrywał przyczyn w zaburzeniach pomiędzy Cyklopami pod ziemią. Teraźniejsi Grecy, zwłaszcza na wyspie Zacyncie, trzęsienie ziemi przypisują gniewowi bożemu i powiadają, że Bóg wtedy głowę swą ku ziemi nachyla i włosom potrzasa.

Niekiedy sądzą, że podziemni olbrzymi w chwilach takich biją się między sobą.

U ludów słowiańskich, stosunkowo mniej na działanie tej klęski wystawionych, znajdujemy podania o wielorybach i o morzu, jako podstawie ziemi. W Krakowskim opowiadano Kolbergowi (VII, str. 34), że Bóg-Ojciec stworzył najpierw wody morskie. Gdy już była woda, złożył na krzyż dwa wieloryby i na ich grzbiecie z piasku rzuconego kruszyny, co się wnet rozmnożył, uczynił ziemię „Uropą”. Za dowód tego, że „ziemia pływa po wodach morskich”, służy to, iż „gdziebądź wybić studnią, wszędzie woda się znajduje”. W Kieleckim lud opowiada, że ziemia leży na *wielrybie*, a ta, gdyby się rozgniewała, poruszała się i machnęła zwinieciem w kółko ogonem, ziemia rozprysnęłaby się na miliony kawalków, które niaby grad spadałyby do ogromnych „Dunajów” morskich. Serbowie znowu powiadają, że ziemia stoi na wole; a gdy ten uchem strzygnie, trzęsie się w posadach. Inne wszelako podanie serbskie mieści ziemię na wodzie, wodę na ogniu, a ogień na „smoczym ogniu” (to jest na płomieniu burzy). Zdaje się, że najstarszem i najbardziej rozpowszechnionem pojęciem w Słowiańszczyźnie jest pomieszczenie ziemi na wielorybie, lub nawet czterech wielorybach; gdy te odleżą sobie boki, przewracają się na drugą stronę i wtedy ziemia się chwieje. Jeden z tych wielorybów miał umrzeć przed laty, a śmierć jego sprowadziła potop na ziemię.

Z tych wszystkich podań jasno pokazuje się, że źródłem ich była obserwacja chmur i obłoków, otaczających widnokrąg dokoła. Niosły one wodę niebieską, a zatem wychodzić musiały z morza; morze to więc opasywało ziemię. Chmury nadto wyobrażano sobie jako najrozmaitsze postaci nadpowietrzne, już-to cudowne dziewy, już-to różne zwierzęta, a nawet olbrzymie ryby, pływające po wszechświatowych wodach. Chmurom więc narzucano formę wielorybów, słoni, żab lub wołów, którym kazano dźwigać ziemię, a ruchom ich przypisywano straszliwą klęskę trzęsienia ziemi. W tem więc źródle mythów kryje się pojęcie pierwotnych ludów, co do przyczyn owego przerażającego zjawiska, które wszelako ziemię słowiańskie nawiedzało daleko rzadziej, i to nie z taką zaciekłością, jak n. p. kraje gorące, zwłaszcza nad brzegami Oceanu Wielkiego.

W naszej, północnej krainie wypadki tego rodzaju były rzadkością. Wiemy o czterech takich trzęsieniach, zapisanych w dziejach naszych. Według Kromera, za panowania Leszka Białego, roku 1220 w maju, <sup>1)</sup> w dobie południowej było trzęsienie ziemi i to powtórzyło się przez kilka dni następnych, wstrząsając budynkami, górami i według historyków przepowiadając okropne po wszem świecie wojny. Tenże Kromer wspomina, że za Bolesława Wstydlwego, roku 1259 zatrzęsła się ziemia w Polsce, co dusze wszystkich napelniło wielką o przyszłość obawą — i w istocie niezadługo nastąpiły wojny domowe inajazdy wrogów. Według Miechowity, za Władysława Jagiellończyka, po uchwaleniu wojny z Turkami, wydarzyło się w Czerwcu r. 1443 trzęsienie ziemi, które dotknęło Węgry, Polskę i Czechy i zburzyło wiele miejsc warownych; miało być ono przepowiednią

1) Zarówno Długosz (ed. dobr. t. I, str. 521 jak Kromer kładą trzęsienie ziemi na rok 1200 na Maj, pierwszy na 5-ty, drugi na 3-ci dzień tego miesiąca. Kromer (prz. Błażowskiego, wyd. Sanoćkie str. 360): „Nagle trzęsienie ziemi o południu przypadszy, przez dni kilka silące się, wiele budowania w Polsce, więc i w pograniczu jej roztrzęsło”. Od trzęsienia 1443 r. ucierpiał wiele piękny kościół ś. Katarzyny w Krakowie. W XVIII w. nawiedziła gród Krakusowy nowa katastrofa, ale w mniejszych już rozmiarach (r. 1786). W stuleciu bieżącym było w Krakowie trzęsienie ziemi w 1835 r. (Przyp. Red.).



kleski Warneńskiej. W Prusach znowu 1310 r. ziemia tak się zachwiała, iż ludzie na nogach utrzymać się nie mogli.

Staroczeskie pamiętniki, noszące nazwę Mikołaja Daczickiego z Hesłowa, wspominają o trzech trzęsieniach ziemi w Czechach. Pierwsze było r. 1348 w dzień Nawrócenia św. Pawła; drugie r. 1590, o którym pamiętniki owe tak mówią: „Stało się trzęsienie ziemi w Czechach i w innych ziemiach, od czego piękna wieża w mieście rakuskiem Wiedniu wielką szkodę poniosła“. O tym wypadku szczegółowiej pisze Wacław Brzezan w „Żywocie Piotra Woka z Rosenberka“, ostatniego potomka owego wielkiego rodu panów z Róży czyli Rosenbergów, z których jeden był nawet kandydatem do tronu polskiego. Piotr Wok, żyjący za czasów Maksymiliana II i Rudolfa II, sławnym był ze swych bogactw, hojności, zbytków, rozpusty i wpływu na dworze. Trzęsienie ziemi naówczas poraz pierwszy dało się uczuć 29 Czerwca; 15 Września ziemia zatrzęsała się po dwakroć, raz w nocy, co wszystkich niezmiernym strachem przejęło. Mieszkańcy Sobiesławia tak skarżyli się listownie do swego pana na Bechyniu: „Miłościwy panie! Pominąć nie mogliśmy tego wcale, abysmy W. M. Pana nie mieli zawiadomić o wielkim i okropnym strachu, który na nas miły Pan Bóg za wielkie grzechy nasze dnia wczorajszego przed wieczorem, a potem tej nocy po godzinie piątej dopuścić raczył; ale prawie całe miasto uczało to i byliśmy postawieni w wielkim strachu, czego myśmy, jako żywi, i przodkowie nasi nie doświadczyli. Na szpitalu wielki kamienny krzyż, od kilkuset lat postawiony, padł; przy wielkim kościele samo się w jeden dzwonek dzwoniło. A tak, jak miły Pan Bóg swą moc okazać raczył i jakie wielkie trzęsienie ziemi było, z wielkiej bojaźni i strachu prawie tego wszystkiego opowiedzieć nie możemy; albowiem wszystko tak się działo, jakgdyby miasto koniec swój, czego miły Panie Boże racz uchować, wziąć miało. A nietylko, aby to w mieście było, ale, jakieśmy od sąsiadów na pewne zawiadomieni byli, i w polu się stało. Dzieci zaś małe w wielu domach, tak wielce będąc przerażone, wielkim głosem płakały; w izbach wielu okna, listwy, z niektórych szczytów wapno padało i tak wiele innych rzeczy etc. 1).

W trzecim wypadku, zaszłym 1615 r., wspomniany już Mikołaj Daczicki z Hesłowa tak powiada: „W Czwartek w nocy na Piątek 20 Ferb. ziemia się trzęsała około 10 godziny, licząc na całym zegarze. To i ja uczałem i łóżko się ze mną i ciało zatrzęsało. Wyrazy „licząc na całym zegarze“ wskazują, że należy postarować liczyć od zachodu słońca.

Wszystkie te wypadki blado wyglądają obok strasznego dopustu Bożego, jaki dotknął pobratymczych nam Chorwatów; a cóż dopiero wobec kleski, spadających tak często na miasta i wsie pod Kordelierami, lub, jak obecnie, na Ischią i Chios!

## WIADOMOŚCI

### Literackie, artystyczne i naukowe.

— *Encyklopedia wychowawcza* dobiegła już do drugiego zeszytu tomu II-go. Mieści się tu dokończenie artykułu p. Kaszewskiego o Benthamie, artykuły o Bentkowskim Felixie, Bernardin de St-Pierre, Berquinie, o Wyższych szkołach żydowskich *bethamidaszami* zwanych, o Bezinteresowności przez p. Ochorowicza, poczem rozpoczyna się obszerna *Bibliografia pedagogiczna polska*, zebrana przez Dra Władysława Wisłockiego, pierwsza w tej pełni i szczegółowości praca w literaturze naszej. Z powodu wielkiego pośpiechu wydawniczego Bibliografia ta nie mogła być podzieloną racjonalnie według rodzajów i przedmiotów, jak to już począł był w dziele swoim Jocher,

a wskutek tego, będąc bardzo szacowną i użyteczną, nie zdoła jednak wyświadczać w badaniach literackich takiej przysługi, jakiejby się po niej spodziewać było można. Uwaga ta nie zmniejsza wartości zbioru dokonanego przez człowieka, który jako bibliograf bezwarunkowo najpoważniejszy dziś ma imię, a dał się poznać i na polu prac historycznych, jako gruntowny badacz i wydawca naukowy. Zapewne *Bibliografia pedagogiczna* wyjdzie w osobnej książce. Pisaliśmy już o *Encyklopedyi* w Nr 45 z r. 1880; nie wiemy: czy uwagi tam wypowiedziane doszły do wiadomości Redakcyi, a jeśli doszły, czy trafiły do jej przekonania? lecz widzimy ciągle za wielki balast rzeczy obcych pedagogice w ścisłym znaczeniu, u nas żyjącej i działającej, zwłaszcza zawiele rzeczy zagranicznych. Takie artykuły, jak o Bernardin de St-Pierre i Berquinie należało do *minimum* ograniczyć: znaczenie tych panów w pedagogice jest niezmiernie małe, jak o tem przekonywają artykuły samej *Encyklopedyi*. Niech sobie o nich piszą Francuzi; my zachowajmy miejsce, czas i pieniądze na rzeczy bliżej nas obchodzące. Gdyby przynajmniej w artykule o Bernardin de St-Pierre znalazły się były jakie szczegóły o jego narzucaniu się Lubomirskiej, byłyby to niejako przyczynki do małych dziejów naszych; wobec zaś ogólników artykułu i ten wzgląd upada. Artykuł o Berquinie jest niekrytyczny. Nie przestaniemy jaknajbardziej doradzać Redakcyi wytworzenia sobie ściśle zwartego planu i określenia w sposób niezruszony: co ma być w *Encyklopedyi*, co być musi, a co być nie powinno. Rzeczy zagraniczne, teorye i historye nauk, systemata; filozoficzne, mogą być podawane tylko w najistotniejszej treści, bo *Encyklopedia wychowawcza* nie jest encyklopedyą umiejętności ludzkiej; nie historia, ani filozofia, ale pedagogika jest główną w niej rzeczą.

Mówiąc o *Encyklopedyi*, nie możemy pominąć milczeniem pisowni, jaka się w niej ustala. Oto w rodzaju męzkim, w narzędniku liczby mnogiej, rzeczowniki dla nieżywotnych, żywotnych pozaludzkich i umysłowych porównane są z rzeczownikami dla żywotnych ludzkich i, taksamo jak one, przymiotnikom nadając końcówki *ym* i *im*; czytamy: naprzykład „koleżeńskimi stosunkami, możliwymi sposobami w zupełnem równoprawnieniu z zapalonymi gracjami“. W liczbie pojedynczej i w obu pozostałych rodzajach liczby mnogiej narzędnika, jako też w miejscowniku i narzędniku liczby pojedynczej rodzaju męskiego i nijakiego, porządek dotychczasowy nie ulega zmianie; znajdujemy np.: „drugimi dziećmi, i pożytecznymi dziełami, rozległymi wiadomościami, dobrym człowiekiem, w uczonym mężu, jednym tematem“, obok: „w swoim dziecku; dzieckiem rządym“. A zatem tylko w rodzaju męzkim liczby mnogiej występuje nowa zasada godzenia przymiotników z rzeczownikami. Musiano ją sobie wyrozumować, ale w żadnym razie nie w myśl wywodów Malinowskiego lub Przyborowskiego, który najgruntowniej sprawę narzędnika i miejscownika w obu liczbach rozegrali; zdaje się, że Redakcyja poszła tu za Małeckim 1). Przy ustalaniu zasad pisowni dla dzieła ze wszystkich trzech sposobów oznaczania dźwięku jotowego w zgłoskach cudzoziemskiego brzmienia i pochodzenia (*i = y, j, ij = yj*) przyznano pierwszeństwo ostatniemu, i tego stale korekta przestrzega. *E* nie wszędzie pochyła się w przymiotnikach liczby pojedynczej rodzajów żeńskiego i nijakiego, tam gdzie według zasady przyjętej przez Redakcyję pochyłać się powinno; nie raz spotykamy na jednej i tej samej stronnicy, przy jednym i tym samym rzeczowniku, dwa przymiotniki obok siebie, jeden z pochyleniem, drugi bez niego np. (str. 97): „To było zawisłem i trudnym“, a poniżej: „dzieckiem skąpem i nieużytem.“ Zasada pochylenia chwile się w liczbie mnogiej: „dobremi chęciami, pożytecznymi dziełami“, ale obok tego i „dorastającymi dziećmi“. Korekta sama, jako prosta wykonawczyni prawa, odznacza się starannością.

Artykuł p. Kaszewskiego o *Benthamie* w swej części filozoficznej jest szlachetną, platońskim du-

chem owianą, ale zapomocą nowożytnej logiki zbudowaną, obroną idealizmu obyczajowego przeciwko teorii użyteczności i osobisto-zbiorowego szczęścia — szczęścia pojętego w sposób gruby, elementarny, pierwotny jeszcze, pastersko-leśny. Piękna to, na odczytanie zasługująca, praca. W artykule p. Ochorowicza o *Bezinteresowności* ręka w rękę z rozsądkiem spostrzegawczym, z rozumem wnioskującym, postępuje obywatelska troska o ideał moralny, o uzdolnienie jednostki do służby społecznej. W niewielu dobitnych słowach scharakteryzował autor wpływ systematów szkolnych na bezinteresowność, na szlachetność i w ogóle na moralność dzieci. Dwa tylko zdania dadzą wyobrażenie o duchu artykułu: „Dziecko powinno przedewszystkiem kochać szkołę; z chwilą gdy ona staje się dlań postrachem, moralny jej wpływ ginie, a zaczyna się niemoralny“ (str. 101); a w zakończeniu samem: „Praktyczności można się nauczyć i na starość, ale szlachetności nie zdobędzie nigdy ten, kto jej nie miał zamłodu“. Artykułowi temu braknie historycznego przedstawienia przedmiotu, krytycznego poglądu na najważniejsze pojęcia o bezinteresowności, jakie historia pedagogiki w pamięci swej zachowała. Toż samo stosuje się do artykułu p. Ochorowicza *Amibicya*. Podobne opracowywanie, jakie pragnęlibyśmy tu widzieć, jest właśnie niezbędnem w *Encyklopedyi wychowawczej*.

Dażność *Encyklopedyi* do gruntownego oświecenia, do nauczania najwyższej ze wszystkich sztuk, oile jej nauczyć można, do pokierowania umysłów na drogę godzącą wiedzę z uczuciem, a uczucie z dobrem społecznym, nie potrzebuje pochwały. Niech się tylko Redakcyja nie obawia prawdy tam, gdzie ona w pozornie niebezpiecznej wystąpi postaci. Nic ludzkiego człowiekowi obcem być nie powinno; a jeśli już koniecznie coś zasłoniętem być musi, niechaj zasłona będzie zupełnie milczeniem raczej, niż przedstawianie rzeczy z prawdą niezgodne.

Matkom i ojcom, miłującym rozumnie swe dzieci, wychowawcom dzieci cudzych, miłującym swój zawód, raz jeszcze polecamy gorąco to wydawnictwo, podjęte w zacych zamiarach, z całą świadomością założenia, z całą zasobnością duchową dla takiego założenia niezbędną. Dobra *Encyklopedia wychowawcza* w rękach ludzi dobrych: to dobre narzędzie do tej najwyższej i najtrudniejszej rzeźby, jaką jest, według pięknego porównania Arystotelesa, wykuwanie dusz ludzkich z surowych brył natury.

— Nadwyzwyczajną słownością odznacza się wydawnictwo *Słownika Geograficznego*: co pierwszego, a nieraz i wcześniej, mamy nowy zeszyt; najnowszy, XXI od początku, obejmuje w sobie wyrazy od *Gnojnik* do *Górnica*. Artykuły x. Fankidejskiego o miejscowościach pruskich, p. Gustawicza o Karpatach i ludności tamtejszej, szczegółólniej zalecają się w tym zeszycie. Redakcyja, podjąwszy na siebie trud przechodzący siły najpotężniejszych nawet komitetów redakcyjnych, nie stoi osamotniona i liczy już spory zastęp prawdziwych współpracowników. Sterownicy umieją gorliwość o jaknajwiększą liczbę szczegółów łączyć ze starannością o jaknajwiększą ich dokładność. Jeżeli pomimo to zjawiają się krytyki poważne i usprawiedliwione, jak ostatniemi czasy w *Warocie*, zrażać się niemi nie należy, ani ich za objawy nieżyczliwości uważać. Niema dzieła doskonałego na świecie, a dzieło tak wielkie, tak do wykonania trudne i pierwsze w swym rodzaju u nas, jak *Słownik*, nietylko może, ale musi, mieć błędy, niedokładności i braki. Gdyby naukowym wydawcą *Słownika* było jakie Towarzystwo Geograficzne, krytyka mogłaby być surowszą dla ludzi; w warunkach danych idzie jej tylko o rzecz samą, o dzieło, które ma na długie lata pozostać i długie lata być użytecznym. Dlatego, ponieważ sprostowania będą liczne, dopełnienia niezbędne, nowe wskazówki (statystyczne) pożądane: część dodatkowa dzieła powinna być jaknajobszerniejszą i jaknajpoważniej opracowywaną, aby mogła być jaknajdokładniejszą. Dokładność tej części dodatkowej, pedantyczna nawet staranność w jej opracowaniu, wyrzeknie o powadze, o naukowej wartości całego dzieła; będzie ostatecznym wyrokiem na jego redaktorów. Wartoby może dziś

1) Charakterystyczny ten list niebiedłych w stylistyce mieszczań oddaliśmy z całą nieudolnością stylową. Godzina piąta winna liczyć się od zachodu słońca.

1) *Grammatyka większa* w 1863 r., str. 103.



już zabrać się do pracy. Upraszamy Redakcją o ściśle przestrzeganie tego, aby przy każdym wskazaniu statystycznym znajdował się rok właściwy, a przy ważniejszych miejscowościach położenie geograficzne. Przypominamy również potrzebę wydania mapy, chociażby tylko pewnej części objętego przez *Słownik* obszaru; bez mapy, i samo dzieło, i zasługa jego wydawców i autorów będzie tylko połowiczną. Kosztami przestrzaskać się nie należy: kto da trzysta złotych za dzieło, ten dołoży i pięćdziesiąt nawet za mapę, byle nie taką, jaką nam jeden z tutejszych zakładów litograficznych dał w roku zeszłym. Można by ogłosić zawczasu prenumeratę.

— *Karol Mecherzyński*, niegdyś professor Uniwersytetu Jagiellońskiego, zmarł d. 9 Sierpnia na Podgórzu pod Krakowem. Zamiłowany w rzeczach ojezystych, im się wyłącznie prawie poświęcał. W uniwersytecie wykładał przez lat 22 (od 1849 — 1871) literaturę polską; napisał *Historję wymowy w Polsce* (3 tomy, 1856/9), *Historję języka łacińskiego i języka niemieckiego w Polsce* (w dwóch osobnych wykładach), *O magistratach miast polskich* (1 t. 1845); w licznych rozprawach, których wykaz niepełny jeszcze podał *Plug* w *Kłosach* (Nr. 845), zwracał uwagę na zapomniane utwory nasze, a między innymi na poezye Hieronima Morsztyna, na *Wety Parnaskie*, na utwory nieznane Garczyńskiego, na *Bitwę Grunwaldzką Jana z Wiślicy* i rymotwórstwo Trzycieskiego. Pisał o przeszłości Uniwersytetu Jagiellońskiego, zajmował się historją szkół krakowskich. Dla użytku szkolnego opracował: *Historję literatury* (I-e w 1873, II-e 1879) wraz z *Przykładami* (1874), *Wypisy dla dziewcząt* (1872) *Stylistykę* (1870). Jako krytyk, estetyk i historyk literatury prace swe помещał w *Rocznikach Tow. Nauk. Krak.* i *Tow. Prz. Nauk w Poznaniu*, w *Przyjacieliu ludu*, w *Tygodniku Literackim Poznańskim*, *Kwartalniku* i w *Pamiętniku Naukowym* krakow-

skim, których był współredaktorem, w *Rozprawach i sprawozdaniach Akad. Um.*, w *Bibliotece Warszawskiej* i w *Ateneum*, a prawdopodobnie i w innych zbiorach; nakoniec w programmatach szkolnych, do czego dawał mu sposobność zawód nauczycielski w szkołach średnich krakowskich od r. 1820 do r. 1851. W pracach swych jest Mech. trzeźwym, ale nie oschłym: stylistą jednak nie był, nie mógł więc być przez szeroką publiczność czytany. Zamierzał wydać „Historję literatury powszechnej“, ale zamiaru swego nie wykonał; tylko w r. 1849 miał w Krakowie odczyty z tej dziedziny wiedzy, a w nich poglądem na najnowszą wówczas poezją naszą, a w szczególności na Mickiewicza, sporo wrzawy narobił. Niemalą zasługą zmarłego jest przekład *Historji Długosza*, w wydaniu Przeddzieckich pięć tomów zajmujący. Mecherzyński urodził się w Krakowie w r. 1800 i tam również kończył nauki, które go do zawodu nauczycielskiego uzdolniły. Od r. 1873 był członkiem Akad. Umiejętności. Zostawił po sobie podobno T. IV *Historji wymowy*; w trzech pierwszych wymowa kaznodziejska sięga do czasów saskich, inne nie dochodzą końca XVII w. Pochwałę człowieka i pisarza wygłosił nad grobem professor Łepkowski.

— Estetyk, znakomity stylistą i nietuzinkowy myśliciel, *Paweł de St. Victor*, potomek rodziny arystokratycznej we Francji, ale szczerzy demokrata, i jeden z najgorętszych patriotów w literaturze francuzkiej, zmarł w lecie roku bieżącego. Z zamiłowaniem, znajomością rzeczy i sumiennością, rzadką w krytyce europejskiej, St. Victor uprawiał szczególnie malarstwo i teatr. Pierwszy tom dzieła poświęconego dramaturgii dawniej już wydał, tom drugi spodziewał się wkrótce zpod drukarskich odebrać, trzeci w rękopiśmie pozostał. W pierwszym tomie jaśnieje gruntowna wiedza obok talentu; zacząwszy od Greków St. Victor kończy na dramaturgach XVIII wieku

i sięga nawet w wiek XIX. Świetny styl dopomagał mu do kreślenia znakomitych charakterystyk, które pod tytułem *Hommes et dieux* w osobnej ukazały się książce; wiele z nich zamieściły w przekładzie *Kłosy* z lat 1867/70. St. Victora jako stylistę nazywał S-te Beuve Don Żuanem frazowania; raz znowu przyrównał go do Michała Anioła; a Lamartine, przy którym nieboszczyk rozpoczął swoją literacką aplikację, mówił, że, chcąc go czytać, musi brać niebieskie okulary, aby nie oślepnąć od blasku stylu. St Victor żył 54 lata.

— D. 30 Sierpnia r. b. zmarł w Livorno Piotr Cossa, autor znanego u nas z przedstawień Rossiego i z przekładu p. Kaszewskiego dramatu, a jak go autor oryginalnie nazwał, „komedyi“, *Nero*. Cossa był Rzymianinem z urodzenia i z ducha: niezmiernie się w starożytnym Rzymie lubował i w utworach swoich ciągle krążył po bogatej dziedzinie historii rzymskiej. Jednym z najpierwszych jego utworów był *Maryusz i Cymbrowie*. Napisał później *Messalinę*, *Kleopatę*, *Juliana Apostatę*, *Plautę*. Przed samą śmiercią wykończył dramat *Sulla*. Z epoki już włoskiej wytworzył: *Monaldeschi*, *Arnoldo da Brescia*, *Cola di Rienzi*, *Cecilia* (z główną postacią *Giorgionego*, malarza staroweneckiego), *Borgia*. Nowożytną historją Włoch udramatyzował C. w *Neapolitańczykach* (z epoki najazdu francuzkiego). Napisał także dramat *Beethoven*. Największy rozgłos zjednał mu *Neron*. Cossa żył z pisania dramatów, które wszystkie weszły na scenę, ale nie wszystkie utrzymać się na niej zdołały.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dokończenie nowelli pod tyt.: *Bracia*.

## OD WYDAWCY.

Pismo niniejsze wychodzić będzie w przyszłym kwartale pod dotychczasową Redakcją i na dotychczasowych warunkach.

### Prenumerata wynosi:

W Warszawie:		Za dodanie dwa razy na miesiąc mój kolorowanych	Za dodanie co tydzień Mody kolorowanej, oraz co miesiąc zefiru
Miesięcznie . . . . .	kop. 60	dopłaca się w Warszawie:	
Kwartalnie . . . . .	Rs. 1 kop. 80	Miesięcznie kop. 15 czyli liczy się . . . . .	kop. 75
		Kwartalnie kop. 45 . . . . .	Rs. 2 kop. 25
Na prowincyi i w Cesarstwie:		Na prowincyi i w Cesarstwie.	
Kwartalnie . . . . .	Rs. 2 kop. 50	Kwartalnie kop 50 czyli liczy się . . . . .	Rs. 3
Półrocznie . . . . .	Rs. 5	Półrocznie rs. 1 . . . . .	Rs. 6
Rocznie . . . . .	Rs. 10.	Rocznie rs. 2 . . . . .	Rs. 12.
			Na prowincyi i w Cesarstwie:
		Kwartalnie rs. 1 kop. 50 czyli liczy się . . . . .	Rs. 4
		Półrocznie rs. 3 . . . . .	Rs. 8
		Rocznie rs. 6 . . . . .	Rs. 16

Nadmienić mi wypada, że najlepiej będzie dla Prenumeratorów na prowincyi zamieszkałych wprost od siebie do Redakcyi nadesłać prenumeratę, wraz z dokładnym i wyraźnie napisanym adresem. Prenumeratorów z prowincyi i Cesarstwa upraszam również, aby żądania swoje raczyli adressować „do Redakcyi Bluszczu Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).”

Wczesne wyprawienie pierwszych, regularne odsyłanie dalszych numerów „Bluszczu“, zależy głównie od zastosowania się pod względem przesłania prenumeraty do powyższego ogłoszenia.

**MICHAŁ GLÜCKSBURG**

Księgarz-Wydawca.

Ogłoszenia do BLUSZCZU przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy BERNARDA BERSOHN w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

**TREŚĆ.** Zjazd pedagogów w Krakowie, (dalszy ciąg), przez Wł. Nowickiego. — Mikołaj Sęp Szarzyński, studium, (dokończenie), przez Wiktora Czajewskiego. — Ostatni list, (dalszy ciąg), przez A. Ch..... — Przegląd teatralny, (dokończenie), przez Stanisława Krzemińskiego. — Trzęsienie ziemi w połaciach ludów pierwotnych, przez Bronisława Grabowskiego. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 15 Сентября 1881 года.



# BRACIA

NOVELLA

przez

Maryę Zofię Szwarc

przekład ze szwedzkiego

(Dokończenie).

Przyjdzie ci to z wielką łatwością, jeżeli tylko natychmiast po odebraniu tego listu, zechcesz przyjechać do mnie, ażebym cię objaśnił ustnie, jakim sposobem przyszedłem do tego odkrycia. Bądźkolwiek przykro mi jest donieść ci podobną wiadomość, wierz mi, iż uczyniłem to jedynie w celu oszczędzenia ci straszliwego upokorzenia, jakiegobys musiał doznać, gdyby haniebnym czynem twego syna rozgłosił się pomiędzy ludźmi.

Przyjmij zarazem zapewnienie, iż to w niczem nie przyniesie ujmy przyjaźni i szacunkowi, jakie zachowa dla ciebie na zawsze.

Twój i t. d.

Kiedym skończyła czytanie, wuj odezwał się stanowczym głosem:

— Ten to list, a nie nowe miłości Gerarda z jego terazniejszą żoną, skłonił mnie, w wiadomym ci czasie do odbycia podróży do Kreuznachu. On to sprawił iż na zawsze wygnałem go od siebie, wypłacając naprzód część spadku, jaką miał kiedyś po mnie odziedziczyć. Pozbyłem się tym sposobem, wszelkiej możliwej z nim styczności, nie przekląłem go, gdyż jako chrześcijanin, nie mam do tego prawa, ale nie chcę go więcej widzieć na oczy. Złodziej nie może być moim synem i pamiętaj o tem moja Selmo, że nie pozwolę na to ażeby próg mój przestąpił, ani też pokazał mi się kiedykolwiek, dopóki się nie przekonam że się poprawił i odżałował za swoje winy.

— Ale jeżeli on to już uczynił, jeżeli żałuje całym sercem, jeżeli...

— Nie, Selmo! wierz mi że tak nie jest! krzyknął starzec, uderzając w stół pięścią.

— Ależ ojeze najdroższy! zawołałam błagalnie, skądże ty możesz wiedzieć o tem?

— Wiem o tem, niestety! aż nadto dobrze, obszedł on się ze mną tak pięknie, że mnie prawie doprowadził do nędzy. Za pomocą listów sfałszowanych, pobrał w moim imieniu znaczne pieniądze, od wszystkich kupców w Koblenz, Bingen i w Kreuznachu, z którymi pozostaję w stosunkach, w takiej ilości że mąż twój nie mało będzie musiał ponieść kłopotu dla zregulowania tej sprawy i uniknięcia wstydu. Dla wynagrodzenia tego oszukaństwa mojego syna zostałem zmuszonym do sprzedaży moich najpiękniejszych winnic, ale nie dość jeszcze i na tem, gdyż w wilię odjazdu twego męża odebrałem list od żony Gerarda, w którym zaklinała mnie o pomoc dla siebie i dla swego nieszczęśliwego dziecka. Stracił on już oddawna niewielkie pieniądze przez nią posiadane, a potem najnikczemniej ją opuścił. I tę jego niegodziwość chce teraz Rolf wynagrodzić ofiarą własnego, szczupłego mienia; ale na

tem już musi się skończyć to, co postanowiłem uczynić, dla tego wyrodka!

— O! nie, nie na tem jeszcze! zawołał Gerard wpadając do pokoju. Poczem wyjął z kieszeni pistolet dodając z niepohamowaną gwałtownością: Jeżeli natychmiast nie dostanę od ciebie dwóch tysięcy talarów tym pistoletem w oczach twoich ojeze, odbiorę sobie życie.

— A więc możesz to uczynić natychmiast! przerwał starzec z przerażającą obojętnością, bo nigdy więcej w życiu nie dostaniesz odemnie ani jednego talara!

Przez cały ten czas siedziałam z moją dzieciną na kolanach, obrócona do drzwi plecami.

Gerard przebiegł około mnie, dążąc ku swemu ojcu, który siedział na przeciwko mnie w fotelu.

W chwili kiedy Gerard rzucił się przed nim na kolana, był do mnie podobnie tyłem obrócony.

Przy ostatnich słowach wuja, podniósł on pistolet po nad głowę. Zerwałam się czempredzej z okrzykiem przerażenia. Strzał wypadł, dziecię moje krzyknęło przenikającym głosem i krew jego zbrzygała moje suknie.

Po tych słowach opowiadająca umilkła, zakrywszy twarz rękami. Po kilku minutach nieszczęśliwa matka oprzytomniawszy ze swej boleści, ciągnęła dalej:

— Strzał Gerarda przeszył nawskroś piersi mojego chłopczyny. Martwe jego ciałko krwią zbroczone spoczywało na mojem ręku. Jakim sposobem nie umarłam naówczas z nim razem, tego do dzisiejszego dnia zrozumieć nie mogę. Natura jednakże obdarzyła mnie tak silnym organizmem, że nie straciłam nawet przytomności i zachowałam dokładne pojęcie o mojem nieszczęściu.

O tem co się naokoło mnie działo, nie wiedziałam nic zupełnie; wiedziałam tylko tyle że dziecię moje zostało zamordowane.

Powiedziano mi później, że Gerard jak oblakany wybiegł z pokoju.

Noc nadeszła, chociaż nie miałam pojęcia w jaki sposób ten dzień upłynął.

Nakoniec odebrano mi z rąk pokrawione zwłoki, ażeby je pochować w poświęconej ziemi, pozostawiając mi za całą pamiątkę sukienki zbroczone krwią mego syna.

Nazajutrz po pogrzebie biednej ofiary, nadeszły dwa listy od Rolfa; jeden do jego nieszczęśliwego ojca, który od dnia strasznego wypadku, nie spuszczał swego pokoju; drugi zaś do mnie.

Zechciej pamiętać o tem droga przyjaciółko, że list ten otrzymałam we dwa dni po okropnej śmierci mojego dziecka.

Przeczytaj go sama, bo nie miałabym siły powtórzyć go przed tobą! dodała wręczając mi drżącą ręką, wyjęty z kieszeni papier.

Odebrałam go ze współzuciem i przeczytałam treść następującą:

„Selmo!

Skoro odbierzesz ten list, już na zawsze zostaniemy rozłączeni z sobą. Chciałaś tego sama, a ja odjeżdżam dlatego żeby cię uwolnić od obecności męża, którego oszukałaś i shańbiłaś honor. Nie chcę nienawidzić, ani przeklinać matki mego dziecka, ale powtarzam: Biada każdej kobiecie, która odbierając od męża, najczystsza, najwierniejsza i najgłębsza miłość, podobnie jak ty wywdzięcza się za nią zdradą i wiarołomstwem. Wiedziałam już oddawna, że serce twoje należało do tego, który się nazywa moim bratem; wiedziałam że usta twoje kłamały, zapewniając mnie o miłości; ale przebaczałem temu wiarołomstwu

twojego serca, ponieważ mi się zdawało, iż naprawdę myślałaś o zwalczeniu tego uczucia które cię do niego wiązało. Niestety! jakże się okropnie pomyliłem. Udawałaś wierność i poczucie obowiązku, dlatego tylko, ażeby mnie łatwiej oszukiwać, a ja jednakże nawet mając już w rękę dowód twojej zdrady, dałem się odurzyć twojami słowami i uwierzyłem twoim zapewnieniom.

Pragnę oszczędzić bólu samemu sobie, przez dowiedzenie ci zdrady, tobie zaś upokorzenia. Ale nadewszystko nie chcę ażeby mój nieszczęśliwy ojezec, miał się dowiedzieć, że jesteś zmiłą, którą ogrzewał tyle lat miłością przy swej szlachetnej piersi i dlatego musimy się rozłączyć.

Nie jest to żadną karą, ale tylko koniecznością z mojej strony. Nie był bym zdolnym do karania ciebie, a jednak skoro sobie pomyślę jak haniebnie podeszłaś mnie w ostatniej chwili, czuję wściekłość burzącą się w moich piersiach.

Jakież to święte zapewnienia słyszałem od ciebie, będąc zmuszonym oddalić się z domu; a jednak cóż zastałem za powrotem? Oto własną żonę w objęciach mojego brata.

Spostrzegłaś mnie naówczas Selmo i zrozumiałaś zapewne, żeśmy się widzieli poraz ostatni. O! gdyby nie żył jeszcze ten nieszczęśliwy starzec znękany tyloma utrapieniami, rozerwałbym natychmiast łączące nas węzły, odebrałbym niegodnej matce moje dziecię i wraz z niem uciekłbym gdzieś daleko do obcego kraju, ale teraz powiedziałem sobie:

Niechaj mnie Bóg uchwowa, ażebym miał pomnażać zmartwienia mojego ojca!

Niechaj żyje dalej, nie wiedząc o tem, że jeden z jego synów, odebrał na zawsze szczęście drugiemu i że dziewczyna, którą wychowywał z taką tkliwością, stała się wiarołomną kobietą, która zdeptała własną cześć, sumienie i obowiązki. Tego tylko dziś pragnę z całego serca.

Nie powinienem był zaufać od razu tej, która od pierwszego dnia zaręczyn już mnie oszukiwała, zataiwszy przedemną stosunki miłosne, jakie zawiązała z moim bratem.

Ale ja cię kochałem Selmo! nie mogłem więc dojrzeć zdrady ukrywanej przez ciebie pod maską niewinności. Zbyt ciężko ukarałaś mnie za moją łatwowierność.

Okaz więc teraz, kiedys rozłączyła ojca z dzieckiem, syna ze stojącym nad grobem ojcem, że będziesz wreszcie umiała wzbudzić w sobie poczucie obowiązku względem własnego dziecka i tego co cię wychował.

Nie zapominaj o tem, że ci kiedys przyjdzie złożyć rachunek przed Bogiem za wychowanie mego syna.

Przeczytawszy ten list, oddałam go napowrót Selmie, która w ten sposób opowiadała dalej:

Jakim sposobem nie dostałam naówczas pomieszczenia zmysłów, tego do dziś dnia wytłomaczyć sobie nie mogę; ale jak to już mówiłam, ciało moje niezmiernie było silnem. Nie rozchorowałam się więc, ani też nie straciłam rozumu.

Zachowałam jak najdokładniejsze pojęcie mojej niedoli i modlitwą pokrzepiałam siłę mego ducha. Nie mogłam nawet zapłakać dla przyniesienia sobie ulgi w cierpieniach.

Przygnębiona, zdruzgotana moralnie, siedziałam po całych godzinach z fatalnym listem w ręku. Nie dosyć więc jeszcze miałam na okrutnej śmierci mojego dziecka i potrzeba było tego nowego nieszczęścia, ażeby mnie zgnębić na zawsze.

Nad wieczorem wuj kazał mnie przywołać.

Nie widziałam go od owej nieszczęsnej chwili,



kiedy kula Gerarda przeszła pierś mojego dziecięcia.

Wezwanie wuja ocuciło mnie z odurzenia dręczącego bólu, pobudzając do obowiązku względem tego starca, który podobnie jak i ja był nie-szczęśliwym.

To też niezwłocznie udałam się do niego; zastałam go jak zwykle siedzącego w fotelu. Był tak straszliwie zmienionym, że mimowolnie rzuciłam mu się do nóg, wybuchając płaczem.

Przy nim znajdowała się ciotka Monika i szanowany powszechnie kapłan, ojciec Wawrzyniec.

Wuj przytulił mnie gwałtownie do piersi.

Żadne z nas nie mogło przemówić i tylko łzy, były tłumaczami naszych bolesnych uczuć.

Nakoniec ojciec Wawrzyniec pierwszy przerwał milczenie. Przemawiał on do nas łagodnymi słowy religijnej pociechy, jakimi tylko prawdziwie natchniony kapłan może przemówić do strapiionych.

Słowa jego jak krople gojącego balsamu, padły na rany mojej duszy. Wkrótce ucichło łkanie, a wuj odezwał się słabym głosem:

— Mogłaś zdobyć się na tyle siły, ażeby nie przekląć tego nędznika?

— Wujul wszakże on jest twoim synem! odrzekałam podnosząc oczy.

W godzinę później opowiedział mi ojciec Wawrzyniec, co zawierał w sobie list Rolf'a, napisany do ojca. Oznajmiał mu on że dla spłacenia weksli wystawionych na imię ojca przez Gerarda, musiał użyć wszelkich pozostałych kapitałów. Z całego zatem majątku wuja nie pozostało nic więcej, jak tylko dochód z małego folwarku i winnic które niegdyś należały do moich rodziców. Rolf jednak spodziewał się, że to wystarczy na utrzymanie nas trojga, to jest ojca moje i naszego dzieciątka. On zaś sam postanowił udać się do Ameryki, ażeby tam przez usilną pracę, pozyskać znowu majątek, który jego brat zmarnował. Cały jego list do ojca tchnął spokojem i miłością. Prosił on go, ażeby nie przestawał być dobrym opiekunem dla mnie i dla naszego dziecięcia, kończąc swój list tem, że spełnia obecnie dawno już powzięty zamiar, według którego powróci dopiero zostawszy bogatym człowiekiem.

Od owego dnia, przeszło wiele tygodni i miesięcy, wśród posępnego smutku.

Od czasu ostatniego listu Rolf'a nie odebraliśmy więcej od niego żadnej wiadomości.

Niepodobna nam było również pisać do niego, nie wiedząc gdzie się znajdował.

W pół roku po śmierci mego synka, spotkało nas wielkie nieszczęście, bo biedny ojciec Rolf'a zaniewidział zupełnie a po upływie drugiego półrocza odpoczął cichym snem śmierci, zostawszy pochowanym obok swego wnuka.

Pozostałam tedy sama jedna z sędziwą ciotką Moniką. I znowu przeszedł rok od śmierci wuja.

Pewnego jesienno wieczora, kiedy cienie noce bardzo wczesnie zawisły po nad ziemią, a plusk deszczu i świst wiatru smutkiem przenikał duszę, siedzieliśmy obie z ciotką, w owym pokoju, z którego po raz ostatni wyszłam z żyjącym dzieckiem, kiedy w tem usłyszałyśmy jakieś kroki w salonie.

Ciotka Monika porwała świecę ażeby zobaczyć, kto się tam mógł znajdować, a ja pobiegłam za nią.

Na środku pokoju zobaczyłyśmy jakiegoś mężczyznę w podartym płaszczu, z którego ciekła strugą deszczowa woda, jego kapelusz również przemokły był głęboko naciśnięty na czoło.

Spostrzegliśmy że ukrywał on coś pod płaszczem. W chwili kiedy pierwszy promień światła padł na niego, zrzucił on na ziemię płaszcz i kapelusz i stanął przed nami z dzieckiem na rę-

ku. Była to mała dziewczynka, wyglądająca za ledwie na dwa lata jakkolwiek miała już cztery.

Na widok tego człowieka, którego twarz przypominała mi natychmiast tego, co mnie odarł ze wszelkiego szczęścia na ziemi, cofnęłam się ze wstrętem.

Po chwili Gerard zaczął mówić, ale słowa jego, niezrozumiałym dźwiękiem obijały się z początku o moje uszy.

Mówił on, że jego żona umarła, że on sam naznaczony piętnem mordercy swojego synowca, doszedł do ostatniej nędzy, a jego jedyne dziecię pozostało teraz bez chleba i nazwiska. Tyle tylko mogłam zrozumieć z jego mowy. Zaklinał mnie o litość nad swoją córką, mnie którą pozabawił jedyne dziecko.

Słyszałam jego prośby, ale nie byłam w stanie ani spojrzeć na niego, ani mu odpowiedzieć.

Nagle uczułam dwie maleńkie rączyny, obejmujące moją szyję i jakiś srebrny głosik dziecięcy, który przemawiał do mnie: Ja tak zziębłam na dworze i jestem taka głodna, czyż nie chcesz być mamą dla mnie?

Z płaczem wzięłam na rękę biedną sierotę i przycisnęłam ją do serca. Była to jedyna odpowiedź z mojej strony. Kiedym podniosła oczy, ażeby spojrzeć przed siebie, Gerard już się oddalił z pokojem.

Tem dziecięciem była Ludwika. Od owego czasu, nie usłyszałam już nic zupełnie, ani o Rolf'e, ani o Gerardzie.

Pokochołam z całej duszy dziecię, którą mi Bóg zesał na pociechę w moim osieroceniu. Dla jej miłości opuściłam naszą dolinę, na której zdaje się ciężać jakaś szczególna klątwa i gdzie nie może już zakwitnąć szczęście dla nikogo z naszej rodziny.

Po śmierci ciotki Moniki, przeniosłam się z Ludwiką do Berlina, gdzie już od kilku lat mieszkamy.

Na tem kończy się historia mojego życia, związana bezpośrednio z owym domem leżącym poniżej, tam u stóp góry; opowiedziałam ci ją wraz z podaniem o założeniu Rheingrafensteinu. Obydwa te opowiadania są najlepszym dowodem, że namiętności są najzaciętszymi wrogami naszego szczęścia.

Nasze urodzenie i stanowisko społeczne nie obroni nas przeciwko nieszczęściu, jeżeli sami nie nauczymy się od lat najwcześniejszych panować nad sobą i nie będziemy się zapatrywali na własne i cudze sprawy, ze stanowiska trzeźwego, bezstronnego rozsądku.

Skończywszy w ten sposób opowiadanie, nieszczęśliwa Selma zapadła w głębokie milczenie, którego ja, zadumawszy się o jej smutnym losie, nie myślałam bynajmniej przerywać.

Nagle zostałyśmy obie wyrwane z zamyslenia, jakimś śpiewem, który się rozlegał u stóp rozwalin na których siedzieliśmy obok siebie:

„Tam w górnym zamku zasiedli społem,

Jedli i pili za długim stołem;

Światło pochodni migąło zdala,

Brzmała ochotą rycerska sala.“

Głos nuący tę starą piosnkę, jakkolwiek drżący i niepewny, świadczył że niegdyś musiał być dźwięcznym i silnym.

Zaraz za pierwszą zwrotką, Selma zadrżawszy silnie, trwożliwie obejrzała się naokoło i wyszeptwała zeicha: Małgosia!

Pobudzona tym wyrazem i ja podniosłam także głowę.

Teraz dopiero spostrzegliśmy obie, że nie same znajdowałyśmy się na ruinach Rheingrafensteinu, po za nami bowiem, na tym samym odłamie skały, siedział jakiś mężczyzna.

Kiedy obłąkana śpiewaczka zbliżyła się bardzo ku temu miejscu, podniósł się i wtedy poznałam owego anglika, który zawsze tak uparcie ścigał Ludwikę.

Małgosia tymczasem stanęła już na szczyście tarasu. Była to już teraz stara kobieta. Skoro nas spostrzegła wszystkich, zatrzymała się i zmierzyla Selmę szczególnym wzrokiem jak gdyby sobie przypominała jej rysy. Potem uśmiechnąwszy się w sposób właściwy obłąkanym pokiwała głową, dodając: „Dobrześ zrobiła żeś tu przyszła, rycerz Eberhard i piękna Adelgunda czekają na ciebie, a i ten co tam siedzi oczekiwał także!“, mówiąc to wskazała ręką na anglika.

Oczy Selmy pobiegły mimowolnie w ślad za palcami obłąkanej i wtedy skrzyżowały się ze spojrzeniem nieznanego.

Przeglądali się oni sobie wzajemnie dość długo, poczem Selma pobiegła ku niemu, schwyła jego ramię i głosem podobnym do okrzyku radości zawołała: Rolfie!

On wyciągnął ku niej obie ręce, na które nieszczęśliwa kobieta padła bez zmysłów.

Ta, która potrafiła przetrwać tyle męczarni, nie ucierpiawszy przy nich cielesnie, leżała teraz jak martwa w objęciach męża.

On tulił ją do serca, okrywał jej twarz i ręce gorącymi pocałunkami, przemawiając do niej najtkliwszymi wyrazami, dopóki nareszcie nie otworzyła oczów i nie otoczyła rękami jego szyi.

Pogodne promienie zachodzącego słońca zdawały się łagodniejszym niż zwykle blaskiem oblewać ruiny Rheingrafensteinu. U stóp jego biło teraz dwoje wiernych, ciężko doświadczonych sere, złączonych po tylu latach ze sobą, z których gorąca dziękczynna modlitwa płynęła ku niebu.

Małgosia jaśniejąca szczęściem, pobiegła ku dolinie.

Według jej mniemania, dusze Adelgundy i Eberharda pojednawszy się nareszcie, zostały zbawionymi na wieki.

W parę dni po opisanym wyżej wypadku, otrzymałam zaproszenie od Selmy, która mnie przedstawiła swemu mężowi. Wyborny obiad utwierdził jeszcze tę nową dla mnie znajomość.

Na twarzach obojga małżonków jaśniała najżywsza radość.

Przy kawie Rolf opowiedział mi niektóre szczegóły dotyczące Gerarda. Nie mówił on wprawdzie w jaki sposób przepędził owe piętnaście lat po rozłączeniu z żoną, wspomnił jednakże iż większa część tego czasu, upłynęła mu w Indiach Zachodnich, gdzie napotkał wiele trudności, wprzód nim nareszcie zdołał dojść do jakiegoś zarobku, lecz ostatnie lata okazały się dla niego tak pomyślnymi, że został bogatszym niż się spodziewał.

Przed rokiem powrócił on z Indii do Anglii, z kąd zamysłał po urządzeniu interesów udać się do Niemiec dla zobaczenia swojego syna.

W czasie jego pobytu w Londynie, zdarzyło się pewnego razu, że powóz przejechał jakiegoś żebraka, który właśnie dochodził do domu gdzie Rolf zamieszkiwał. Nieszczęśliwy ten upadając zranił sobie bardzo ciężko głowę i został zanieśionym bez zmysłów przez stróża, do sieni. Posłano natychmiast po chirurga, a przez ten czas, Rolf wraz ze stróżem usiłowali powrócić przytomność zranionemu.

Skoro podczas tych zachodów obmyto wodą twarz nędzarza i odgarnięto w tył jego spleta-



włosy, zimny dreszcz przebiegł po całym ciele Rolfa.

Zaczął się przyglądać uważniej zniszczonym nadużyciami i nędzą rysom omdlałego, które pomimo piętna moralnego upadku, zachowały swą regularną piękność i poznał w nim swojego brata.

Zaledwie uczyniwszy to odkrycie, kazał natychmiast zanieść Gerarda do swego mieszkania, gdzie go otoczył jak najtroskliwszymi staraniami. Ale rany nieszczęśliwego były tego rodzaju, że doktor nie pozostawił najmniejszej nadziei wyleczenia. W ciągu pierwszej doby po doznanym wypadku chory znajdował się w tak opłakanym stanie, że cierpienia wzięły całkowicie nad nim górę; gdyż nie tylko jego głowa, ale i piersi zostały silnie uszkodzone. Po trzech dniach, doznał pewnej ulgi i wtedy to dopiero Rolf dał mu się poznać, ponieważ z powodu wielkiej zmiany zaszłej na jego twarzy w skutek ogorzałości i ogromnej brody, nie mógł być poznany przez Gerarda.

Skoro ten dowiedział się od lekarza, że rany jego nie pozostawiają nadziei wyzdrowienia, zaprzagnął pojednać się z Bogiem przez sakramentalną spowiedź, przed którą jeszcze chciał wyznać jak najszczerzej wszystkie winy przed starszym bratem, ażeby uzyskać jego przebaczenie.

Opowiedział mu naprzód ów nieszczęśliwy wy-

padek, który syn Rolfa życiem przypłacił; dalej zaniewiedzenie ojca i śmierć jego, która nastąpiła skutkiem doznanych zmartwień. Oświadczył że w najhaniebniejszy sposób oczernił Selmę, wzywając w Rolfa, że jemu oddała swoje serce i przyznał się, że sam kazał odmalować miniaturę, dla utwierdzenia zazdrosnego męża w jego niesłusznych podejrzeniach.

Do tak ohydnych postępowania skłoniła Gerarda, dawna jego zazdrość względem starszego brata, któremu wszelkimi siłami starał się życie zatruwać. Zobaczywszy że przez małżeństwo z Klotyldą, zrobił najgorszy w świecie interes, pragnął koniecznie przyprowadzić do skutku zerwanie związku, pomiędzy Rolfem i Selmą. Wiedział on iż to wywołałoby gniew ojcowski przeciwko brata, z któregoby naówczas mógł sam skorzystać, tem więcej, że już w ciągu pierwszego roku pożycia z żoną, wyrzucił się ze wszelkiego mienia. Cały majątek Klotyldy wynosił zaledwie parę tysięcy talarów, a i te dawno już były wydane, nim wyszła za Gerarda, którego złudziła rzekomym posagiem.

Gerard osnuł swój plan na znajomości charakteru swego ojca, o którym wiedział, iż nigdyby nie przebaczył Rolfowi unieszczęśliwienia Selmy. Ztąd też podniecał bezustannie zazdrość brata, utrzymując jego niemile stosunki z żoną, co mu się na nieszczęście, aż nadto dobrze udało.

Nie masz w samej rzeczy niebezpieczniejszego czynnika w rękach naszych nieprzyjaciół, nad nasze własne samolubstwo, które zawsze mogą wyzyskać na własną korzyść.

Po oddaniu swej córki pod opiekę Selmy, Gerard, dochodził stopniowo do coraz większego upadku, dopóki nie został tem, czem go znalazł brat starszy.

Dowiedział się on przypadkiem że Rolf znajduje się w Londynie i siedł właśnie do niego, ażeby uzyskać pieniądze wsparcie, kiedy go zaskoczyło nieszczęście.

Pogrzebawszy brata, Rolf wyjechał niezwłocznie dla wyszukania żony. Dowiedziawszy się z trudnością że mieszkała w Berlinie, udał się tam i otrzymał wiadomość, że wyjechała do Kreuznachu.

Przyjechawszy na miejsce postanowił niepostrzeżenie śledzić kroki Selmy.

W dniu kiedyśmy się obie wybrały do Rheingrafensteinu, poszedł za nimi i został niewidzialnym świadkiem opowiadania swej żony.

We dwa dni po owym wspólnym obiedzie, rodzina Spindlerów opuściła Kreuznach. Na wyjeździe dowiedziałam się jeszcze, iż po odbyciu krótkiej wycieczki do Francji, miała na zawsze osiedlić się w Anglii.

K O N I E C.



**BEZPRZYKŁADNIE NIZKA CENA.**

Wydawca „Bluszczu“ chcąc uprzystępnić nabycie dzieła wielkiej wartości, pod tytułem :

**PISMO ŚWIĘTE  
STAREGO I NOWEGO TESTAMENTU**

przekład X. JAKÓBA WUJKA

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską

wydanie nowe z objaśnieniami podług J. FR. ALLIOLI

Zaaprobowane przez Konsystorz Archidiecezyi Warszawskiej.

**WYDANIE WSPANIAŁE**

w formacie wielkie in folio,

ozdobione 230 drzeworytami

odbitemi każdy na osobnej karcie

rysunku najslawniejszego europejskiego ilustratora

**GUSTAWA DORÉ**

w dwóch wielkich tomach

naznacza cenę wyjątkowo niską

dla prenumeratorów „Bluszczu“

Za egzemplarz składający się z 64 zeszytów, obejmujących w sobie:

254 arkuszy tekstu w formacie wielkiego arkusza z osobnymi  
ozdobami na każdej stronie

230 rycin wielkiego rozmiaru

**tylko rub. sreb. 18** — (dotychczasowa cena była rs. 32)

**W oprawie w płótno angielskie rs. 24**

**W oprawie ozdobnej w płótno angielskie ze skórzanym grzbietem, pięknymi wy-**  
**ciskami, i złoconymi brzegami, oraz futerałem tylko rs. 27** (cena dotychczasowa rs. 42)

**Za przesyłkę pocztą dopłaca się od egzemplarza nieoprawnego rs. 2, opra-**  
**wnego rs. 3.**

Z podziwem i uwielbieniem stajemy przed niezmiernym ogromem tej pracy, w której jednemu artyście powiodło się cza-  
rujące i wspaniałe illustrowanie całego Pisma Św. Starego i Nowego Zakonu;—z połączenia zaś sztuki drzeworytnika i typo-  
graфа z sztuką rysownika-kompozytora powstała Biblia illustrowana, do jakiej w całym obszarze wydawnictwa europejskiego  
nie istniało dotąd nic podobnego.

Liczba egzemplarzy do sprzedaży po niższej cenie jest ograniczona;—po rozejściu się, cena znacznie podwyższona  
będzie.

Michał Glücksberg Wydawca, ulica Nowy-Świat Nr 55.

Za tak niską cenę, w stosunku do swego rozmiaru i ozdobności rycin, żadne dzieło nietylko u nas  
lecz i za granicą nie było sprzedawane.

